

Nr 2 (101)

CZASOPISMO LITERACKIE

2025



ISSN 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH - ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM





CZASOPISMO LITERACKIE PEGAZ LUBUSKI NR 2 (101) 2025

ISSN 1732-1069

Wydawcy:

Związek Literatów Polskich – Oddział w Gorzowie Wielkopolskim

Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta
ul. Sikorskiego 107
66-400 Gorzów Wielkopolski

Redaktor naczelna: Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk
603 124 592 / agnieszka.moskaluk@gmail.com

Zastępczyni redaktor naczelnej: Beata Igielska

Skład: Sebastian Wróblewski

Korekta: Gabriela Rodak, Magdalena Turska

Druk: SONAR Sp. z o.o.
ul. Kostrzyńska 89
66-400 Gorzów Wielkopolski

W numerze i na okładce znajdują się prace Juliusza Piechockiego – gorzowskiego artysty plastyka

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne online na stronie www.wimbp.gorzow.pl

Zasady współpracy z „PL”

Przekazując materiały do redakcji kwartalnika literackiego „Pegaz Lubuski”, wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i wersji online;
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw autorskich osób trzecich;
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, oraz że ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów;
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów oraz korektę merytoryczną i językową nadesłanych materiałów.

SMAK

Masz to na języku.

Czujesz gorycz porażki i słodycz sukcesu.

Wypijasz kielich goryczy, wierząc, że wiele może się wydarzyć *między ustami a brzegiem pucharu*.

Rozgryzasz twarde orzech. Spijasz śmietankę. Uśmiechasz się cierpko. Wyciskasz życie jak cytrynę (czasem robisz z niej lemoniadę).

Ważysz słowa.

Bywa, że przeżywasz czarną polewkę, odgrzewany kotlet, flaki z olejem.

Smakujesz słodycz zwycięstwa.

Ożywasz się, kiedy dostajesz wisienkę na torcie i crème de la crème. Przecież dobrze wiesz, gdzie leżą konfitury!

Jednak prawdziwa strawa duchowa nie wymaga słodzenia, tylko harmonii.

Przywołujesz więc smaki dzieciństwa, smakujesz dojrzałość, odkrywasz smak starości.

Masz to na języku.

Już wiesz, jak smakuje życie? Także to literackie?

Agnieszka Moskaluk
redaktorka naczelna „Pegaza Lubuskiego”

SMAKI STAROŚCI

Hanna Kaup

Podglądam moje stare ciało
jednym okiem
krótkowzrocznym
widzę linie przeorane latami
jednym uchem
słyszę ciężki oddech
w ustach czuję suchość
nie mam siły
wstać
po szklankę wody.

Podglądam swoje ciało
nie przypomina tamtego
pytam
skąd skóra
ponacinana kora
drzewa
bez miłosnego wyznania.

Podglądam swoje ciało
z lękiem
wstuchuję się
w rytm serca
dziwnie zmęczony
przymykam
oko na starość.

HANNA KAUP: nauczycielka, dziennikarka, poetka, społeczniczka. W latach 2005-2009 redaktor naczelna tygodnika „Ziemia Gorzowska”, obecnie prowadzi portal www.egorzowska.pl. W l. 2004-2005 (wraz z Markiem Piechockim) realizowała w Jazz Clubie Pod Filarami interdyscyplinarne wydarzenia kulturalne Re-animacje Sztuki. W 2005 roku założyła Grupę Literacką Wiązało działającą przy Stowarzyszeniu Twórczym Wena. Pomysłodawczyni (wspólnie ze Stowarzyszeniem Ruchu Miejskiego Ludzie dla Miasta) i redaktorka wydawnictwa *Dariusz Kostrzewa, czyli gorzowskie historie w karykaturze* (2021). Od 2016 roku tworzy (wspólnie ze Stowarzyszeniem św. Eugeniusza de Mazenoda) biuletyn *Łączą nas ludzie i miejsca*. Autorka tomiku poezji *44 zaskoczenia* (2003), opowiadań włączonych do tomu *Świat i ja, moje dobre i złe dni* (2004) oraz książki dla dzieci *Rozmowiastki* (2024).



ŚPIEWAJMY, NIKT NIE WOŁA **OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIE MŁODYCH AUTORÓW** **I KOMPOZYTORÓW SMAK W MYŚLIBORZU**

Ewa Rutkowska

Dawno, dawno temu, w małym prowincjonalnym miasteczku wojewódzkim żyli sobie Dziad i Baba, bardzo biedni oboje, bo „robili” w kulturze. Na niego wołali Rafał od Zapadków, a jej dali na chrzcie Ela. Któregoś wieczora siedzieli oboje na przybzie przed Wojewódzką Chałupą Kultury i... myśleli. I nagle na stroskanej i pooranej bruzdami twarzy Eli pojawił się uśmiech. *Mam – wykrzyknęła ochryplym głosem. Ja też – wykrztusił Rafał. – Zaczniemy szukać talentów.* I jeszcze tego samego wieczora, wzięwszy pod pachę stare, rozwalające się koryto, ruszyli w świat, pohukując dla dodania sobie odwagi. *Śpiewajmy, nikt nie woła!*

To fragment wstępu do niemal wszystkich folderów z okazji kolejnego lecia imprezy. Napisyany przez członków Kabaretu Przyjaciele z Poznania, którzy przez pierwsze dziesięć lat prowadzili imprezę.

SMAK to dzieło Eli Kuczyńskiej i Rafała Zapadki. Ela po ukończeniu Politechniki Poznańskiej przyjechała do Gorzowa i zaczęła pracować w Zakładzie Energetycznym. Laureatka kilku festiwali (m.in.: piosenki radzieckiej, żołnierskiej, debiutów w Opolu, „Śpiewajmy Poezję” w Olsztynie). Pracę w Wojewódzkim Domu Kultury w Gorzowie zaproponował jej ówczesny dyrektor Zbigniew Józefowski. Tu już pracowała Anna Zapadka i jej mąż Rafał, z wykształcenia socjolog. „Głowy pełne szaleńczych pomysłów...” – jak później o organizatorach imprezy mówiła przedstawicielka Ministerstwa Kultury Adrianna Poniecka-Piekutowska.

Regulamin SMAK-u skonstruowany był lekko i dowcipnie. Proponował przede wszystkim warsztaty dla twórców amatorów piszących teksty piosenek i komponujących muzykę, prowadzone przez wybitnych specjalistów polskiej piosenki. Spotkanie kończyło się konkursem z trzema głównymi nagrodami – Hebanowym, Dębowym i Sosnowym Szczebłem do Kariery. Były też zaproszenia na Festiwal Piosenki Studenckiej w Krakowie i do łódzkiej „Przechowalni”. Nagrody ZAKR i ZAIKS. Instytucje zaproszone do współorganizacji imprezy przez Janusza Kondratowicza, poetę polskiej piosenki, długoletniego kierownika artystycznego SMAK-u. Pomysłowi przyklasnął także Wydział Kultury Urzędu Wojewódzkiego z Leszkiem Bończukiem (wtedy było to województwo gorzowskie), który każdego roku pomagał pozyskiwać fundusze na realizację imprezy. Pomysł przypadł też do serca dyrektorce WDK Lidii Przybyłowicz. Dużym problemem był fakt, że Gorzów nie posiadał bazy do realizacji takiej imprezy. Potrzebne były sale na warsztaty i sala widowiskowa. Na pierwszy SMAK (wtedy STIWPA, Spotkanie Twórców i Wykonawców Piosenki Amatorskiej) przyjechało ponad dwieście osób (zespoły i soliści). I to przez kilka lat była norma. Trzeba ich też

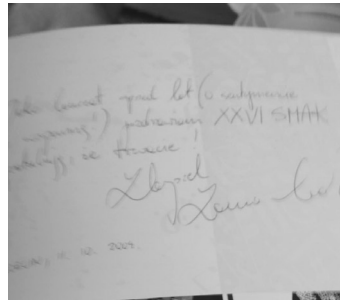
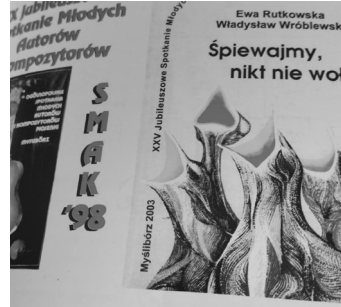
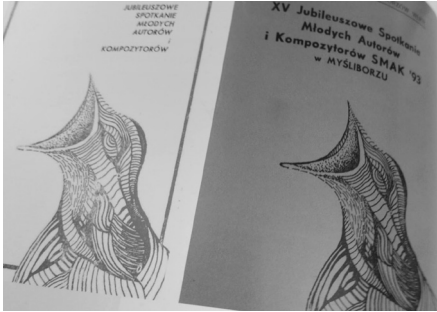


Foto: archiwum prywatne Ewy Rutkowskiej

było gdzieś zakwaterować. Imprezę pod swój dach przyjął Myśliborski Ośrodek Kultury, którym rządził wtedy Henryk Rauze (miało to być „na chwilę”). A zakwaterowanie, które z wielkim trudem każdego roku „zdobywaliśmy”, odbywało się w internacie Technikum Hodowlanego. Mieszkali tam wszyscy, także jurorzy.

Głównym organizatorem SMAK-u był Wojewódzki Dom Kultury w Gorzowie, a przez kilka pierwszych lat odpowiedzialną za imprezę była Elżbieta Kuczyńska, instruktorka ds. teatru w WDK. Po jej odejściu z pracy w tej placówce rolę tę „przypisano” mnie, jako że pochodziłam z Myśliborza. I byłam od początku współrealizatorką. Od 1984 roku pracowałam w WDK. Przy organizacji imprezy zajmowałam się niemal wszystkim. Andrzej Poniedziałki napisał dla mnie krótką rymowanąkę:

W boru głupoty, w boru bezsensów.
Pośród zawiści suchych liści.
Jest taka Ewa – U niej się śpiewa.
Słucha się. Czuje. I myśli.

Najważniejsze było to, aby imprezą zainteresować młodych (duchem) twórców. Jak wspominałam, służył temu żartobliwie i lekko skonstruowany regulamin. Oto fragment:

Przypuszczamy, że jest wielu twórców chowających swoje piosenki do szuflady czy śpiewających tylko w gronie przyjaciół. Przyjdźcie do nas, zaśpiewajcie je, może staną się naszymi przebojami, nie gorszymi od hitów radiowych. Przyjmujemy każdą piosenkę, byle z charakterem, wyśpiewajcie wszystko – co komu w duszy gra. Wierzymy w Waszą Twórczą Prywatną Inicjatywę. Każdy uczestnik ma prawo zgłoszenia minimum dwóch utworów. Maksimum jest otwarte do granic przyzwoitości.

Pierwszy SMAK (STiWPA) odbywał się w ciągu dwóch dni, w październiku 1978 roku. Ale już od następnego roku realizowany był w ciągu czterech dni. Był więc czas na najważniejszą część spotkania – warsztaty. A te prowadzone były przez znanych twórców. Wymienię tu kilku. Wspomniany Janusz Kondratowicz, Krzysztof Heering, Piotr Figiel, Zbigniew Górny, Jacek Skubikowski, Andrzej Waligórski, Jonasz Kofta (był tylko raz, ale jego obecność i recital, jaki dał, zostały w naszej pamięci na zawsze. Od 2009 roku SMAK odbywa się pod jego patronatem), Leszek Długosz, Justyna Holm, Tadeusz Woźniak, Jerzy Derfel, Agnieszka Osiecka, Ela Adamiak, Andrzej Poniedziałki, Krzysztof Daukszewicz, Waldemar Parzyński, Andrzej Ziemianin, Marek Majewski, Juliusz Loranc, Ryszard Poznakowski, Krzysztof Ścierański, Andrzej Ibis Wróblewski, Magda Czapkańska, Leszek Szopa, Piotr Rubik... i wielu innych znakomitych twórców polskiej piosenki. Na warsztatach „szlifowano” przywiezione utwory. Ale często tu, na miejscu, podczas warsztatów powstawały nowe... O tych zajęciach Marek Majewski, kiedyś uczestnik, laureat w 1981 roku Dębowego Szczębla, a potem

także kierownik artystyczny mówił tak: „Myślíbórz daje szlif, ale tu nikt nie uczy, jak zdobywać siłę przebicia. Konsultanci mogą pomóc w osiągnięciu wyrazu artystycznego, coś podpowiedzieć, zdradzić jakąś tajemnicę...”. A Andrzej Poniedziałki (konferansjer jedyny w swoim rodzaju, prowadzący warsztaty i juror. Takie „trzy w jednym”) mówił tak: „Aby zajęcia miały sens, obie strony muszą sobie ufać...”. Kierownik artystyczny Janusz Kondratowicz w którymś wywiadzie prasowym powiedział m.in.:

Przyjeżdżam do Myślíborza prawie co roku, zmieniali się moi partnerzy – poeci, kompozytorzy, organizatorzy życia muzycznego. Wspaniali artyści – ostatni romantycy estrady. Niektórzy wędrują po połoninach niebieskich, inni odeszli od młodzieńczych szaleństw, tylko niewielu trwa w tej trudnej roli tragarzy puchu.

O SMAK-u pisała prasa. Dziennikarka Dorota Frątczak w „Nadodrze” pisała m. in.: „Zatarty się granice podziatu na uczestników, organizatorów i jurorów, była jedna wielka grupa wesołej i rozśpiewanej młodzieży”. A Krystyna Kamińska w „Ziemi Gorzowskiej” w 1992 roku pisała: „Błask tej artystki nieco podstępnie wykorzystowała pani Skarbnik Urzędu Miasta w Myślíborzu. Poprosiła bowiem poetkę (Agnieszka Osiecką) o symboliczne zatwierdzenie projektu budżetu kulturalnego gminy...”. Andrzej Ibis Wróblewski w 1990 roku w „Życiu Warszawy” pisał: „Byłem tam przed dziesięć laty. Co mnie zafrapowało, to przede wszystkim odmienność. W Myślíborzu nie śpiewało się dla pieniędzy ani dla sławy. Tutaj każdy mógł wyśpiewać swoje credo...”. Z kolei Jan Poprawa w „Razem” pisał:

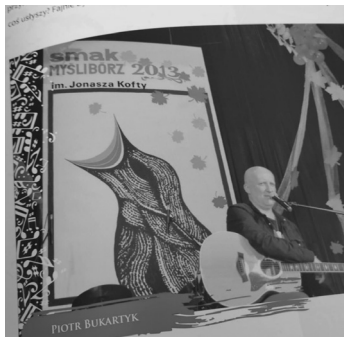
Musiał wywołać dobrą famę ów pierwszy seans w Myślíborzu, ponieważ w dniach 4-7 października (1979) na II Spotkaniach zjawilo się mrowie młodych ludzi z gitarami oraz kilka zespołów; wszyscy oni z najrozmaitszych miast, miasteczek i wsi, od Gdańska po Bytom... Myślíborskie Spotkania mają szczególnie schemat. Otóż dwa ich pierwsze dni odbywają się w postaci warsztatów, podczas których zaproszeni specjaliści, w nieskrępowanej atmosferze dyskutują z uczestnikami o ich repertuarze, walorach i niedostatkach warsztatu autorskiego...

Każda impreza może się pochwalić indywidualnościami. Na SMAK-u też tak było. Wymienię tylko niektórych. Na drugim Spotkaniu w 1979 roku Zbigniew Zamachowski zdobył Dębowy Szczebel do Kariery. Był wtedy uczniem liceum w Brzezinach. A w 2004 roku zasiadał w SMAK-owym jury. W 1981 roku Hebanowy Szczebel zdobył znany obecnie bard piosenki literackiej Tolek Muracki z Warszawy. Zaśpiewał wtedy *Piosenkę o małym kraju*. Oto pierwsza zwrotka:

Kiedy już kupisz bilet do raju,
to nie rób scen przy odjeździe.
Ciasno ci było w tym małym kraju,
a teraz żyjesz – nareszcie.
Szybko podejmiesz jakąś robotę
jaka by ona nie była,
tam, u nich, żadna praca nie hańbi,

tutaj cię każda hańbiona.
Ale kilku z nas zostanie, ktoś tu musi
zbierać chleb,
Ktoś tu musi...

Foto: archiwum prywatne Ewy Rutkowskiej



Za chwilę był stan wojenny. Wtedy, po tej piosence na sali zrobiło się cicho.

W roku 1983 gorzowianin wtedy, Piotr Bukartyk zdobył Hebanowy Szczebel do Kariery. Kilkuletni, niepowtarzalny konferansjer tej imprezy. O swoim pisaniu mówił tak: „Piszę dużo tekstów, przede wszystkim dla dziewczyn... Żyję z pisania do rymu. Rymuję odpłatnie... Piosenkarki przychodzą do mnie jak do krawcowej...” („Gazeta Lubuska”, Hanna Ciepiała).

W roku 1985 Andrzej Ciborski z Lęborka (zaczynał u Eli Kuczyńskiej w Gorzowie) zdobył Heban. Wcześniej nagrodę ZAKR i w 1984 roku Sosnowy Szczebel do Kariery. Niezapomniany zespół z Gorlic „Ostatnia Wieczera w karczmie przeznaczonej do rozbiórki”. Byli dwukrotnie. W roku 1982 zdobyli Heban. A w 1986 roku Dębowy Szczebel do Kariery. Też w 1982 roku Dębowy Szczebel do Kariery zdobył obecnie znany bard piosenki poetyckiej Mirek Czyżykiewicz. A nagrodę ZAKR – Jan Jakub Należyty. W roku 1986 Szczebel Hebanowy zdobył Andrzej Szęszoła, reprezentant „Mieckiego Zagłębia Piosenki”. Jako pierwszy tego sformułowania użył Władek Wróblewski z Witnicy, piszący pracę magisterską na temat dwudziestolecia imprezy. Też uczestnik, autor tekstów. Wspomnę jeszcze o pianistce Dorocie Grześkowiak z Choszczna, która w roku 1994 zdobyła Hebanowy Szczebel do Kariery. Kilka różnych wyróżnień zdobył Jerzy P. Duda (instruktor Klubu Piosenki WDK), w 1979 roku nagrodę ZAKR, w 1986 wyróżnienie „Za szewską pasję tworzenia”. A w 1997 roku nagrodę specjalną „Złoty Order Szarej Mrówki”. Śpiewał wtedy piosenkę pt. *Konik polny* z tekstem Władka Wróblewskiego z własną muzyką. Jurek na SMAK-u był chyba ze trzydzieści razy.

W roku 1999 nagrodą specjalną uhonorowano też gorzowianina Michała Kwiatkowskiego. W 2001 roku nagrodę stowarzyszenia ZAiKS otrzymał Marcin Partyka z Grudziądza, muzyk znany obecnie z różnych imprez emitowanych w TV.

SMAK to także jubileuszowe koncerty „dinozaurów”, laureatów z lat poprzednich.

Każdy dzień kończył się (formalnie) imprezą towarzyszącą. W Myśliborzu gościli m.in: Leszek Długosz, Stanisław Soyka, Ryszard Rynkowski, Stan Borys, Kabaret Koń Polski, zespół Pod Budą, Andrzej Poniedziałki i Ela Adamiak, Kabaret Elita, Jacek Wójcicki, Krzysztof Daukszewicz, Jacek Skubikowski, John Porter, Maciej Zembaty, Wolna Grupa Bukowina i wielu innych.

Mimo różnych przeciwności i zawirowań, galopującej inflacji i innych „reform”, prohibicji, stanu wojennego, wyłączenia prądu, wybuchu gaśnicy Myślībórz przetrwał... Co prawda obecnie w innej nieco formule. Ale jest.

Teraz samodzielnie SMAK organizuje Myślīborski Ośrodek Kultury.

„Szczebłe rozsypały się po kraju”, „Szczablami w górę, szczablami w dół”, „Smak Hebanu”, „SMAK-wita uczta, „Szczebłe do Kariery w świecie piosenki”, „Piosenki ze SMAK-iem” czy „Drabina z powyłamywanymi szczablami”. To kilka nagłówków, które pojawiały się w prasie. Od 1998 roku SMAK ma też swój hymn pt. *Nie mogę bez* – utwór napisany i skomponowany przez Marka Sochackiego (dwukrotnego laureata Hebanowego Szczebła do kariery w 1990 i 1992 roku) z Sandomierza i Andrzeja e-molla Kowalczyka z Tychów (dwie nagrody w 1986 roku). Każda edycja SMAK-u rozpoczyna się tym hymnem.

Oto fragment:

Który to raz za stacją Krzyż
 Powiedzą Przemysł, ale Pisz,
 Powiedzą graj, powiedzą krzycz
 Oprócz talentu nie masz nic.
 I chociaż w życiu czasu mniej,
 A z roku na rok w ptuchach tchu,
 Gdy jesień krzyknie barwą drzew,
 Nie mogę bez...

SMAK ma też plakat autorstwa gorzowskiego artysty plastyka Wiesława Strebjki.

W tej SMAK-owej wędrowni wspominałam tylko niektórych artystów, tych najbardziej znanych także przez Gorzowian.

Świat już ma się całkiem dobrze ku końcowi
 szczęście częściej się wybiera gdzieś niż gości
 sensu chyba trzeba będzie szukać w sobie
 w górach
 w drzewach i w miłości

(A. Poniedziałki)

EWA RUTKOWSKA: animatorka i działaczka kultury. Założycielka Klubu Literackiego przy Wojewódzkim Domu Kultury, znanego później jako Klub Poetów Okrągego Stołu. Współorganizatorka Ogólnopolskich Spotkań Młodych Autorów i Kompozytorów SMAK w Myślīborzu. Działała w gorzowskim oddziale Towarzystwa Kultury Teatralnej, współpracowała z Wydawnictwem Artystyczno-Graficznym Arsenat, pisała relacje z wydarzeń kulturalnych dla portalu GIIK. Obecnie współpracuje z portalem milpress.pl.

Bartłomiej Orzeł

LOT IKARA

Przyszła taka chwila,
by zobaczyć w życiu więcej.
Wiem, że muszę zamknąć mocniej oczy.
Przyszedł taki moment,
aby zajrzeć w swoje serce
i zapalić świecę o północy.

Zawieszony w próżni
między bólem a cierpieniem,
gdy też znowu się przebrała miara...
Ten cień wbity w moje serce
zowie się wspomnieniem.
To mój lot Ikara.

Przytul mnie.
Tam przed nami jest Antwerpia,
cała moc, żagle pełne pełni szczęścia.
Daj mi dłoń, chcę już zawsze płynąć z Tobą.
Dzień i noc niekończącą się przygodą.

Cień i uwiera coraz mocniej, coraz głębiej.
Prześlągnięte moje ciało krwią z twojego tatuażu.
Może do niej się pomodłę,
której masz pod sercem serce,
może one są tam razem...

Przytul mnie.
Tbilisi ptonie słońcem.
Taki sen znów początkiem jest, nie końcem.
Wróćmy tam, przebiegając westchnień mostem.
Taki sen...

ZANIM USCHNIE RÓŻY KWIAT

Zanim uschnie róży kwiat,
zanim znów ucieknie świat,
zanim się obrócisz w proch...
Szczerze były każde zły,
prawdą, gdy mówiłem my,
tulipany, róże, bzy.

Dziś płomień ledwo już się tli,
pod poduszką inne sny.
Już nie *my*, tylko *ja i ty*...
Nic nieznaczący czas...

Zanim w przepaść runie most,
wróci mróz i przyjdzie post.
Zanim się odwróci wzrok,
serce wreszcie mogło bić,
wiosna pozwalała żyć,
gwiazdy rozjaśniały mrok.

Dziś otowiana każda noc
i tży w ten koc.
Znów czarny księżycowy nów,
nic niemówiący czas.

BARTŁOMIEJ ORZEŁ: mieszka w Przytocznej. Autor tekstów i kompozytor, ma na swoim koncie ponad sto piosenek. Podróżnik i obieżyświat, wielbiciel Gruzji. Instruktor harcerski, konferansjer oraz organizator imprez rozrywkowych i kulturalnych. Zadebiutował, mając 19 lat – jest współautorem antologii poezji miłosnej *Z wichru spłynie moja miłość*.

SMAK

Agnieszka Zatylna

*Wszystko smakuje lepiej,
gdy można się tym podzielić.*

(Kelly Barnhill)

Nie wystarcza mi już maj pączkujący nowym początkiem. Z niecierpliwością czekam na czerwiec, na jeszcze świeżą zieleń, która za chwilę zaprezentuje się dojrzałością, na kukurydziane ciepło poranka i odważną czerwień, wypierającą subtelnie nasycone pastelami ażurowe korony owocowych drzewek. Przekraczam kolejną granicę wyznaczoną dniem moich urodzin. Nie celebruję, ale nie jest mi też obojętna. U progu lata marginalizuję osobowość zorganizowanej perfekcjonistki i pozwalam wyjść z ukrycia drugiemu bliźniakowi, który podobno należy do najbardziej żywiołowych i ekstrawertycznych znaków zodiaku. Jeszcze tylko kilkanaście dni dzieli mnie od świata wolnego od rutyny i obowiązków. Z wielkim apetytem na życie czekam na urlop. Łąknę nasycić się codziennością doznań, niczym stodyczą i soczystością mięsistych, bordowych czereśni.

Z ulgą zamykam szerokie okno postu, który wymusił na mnie szarą codzienność zwykłego zjadacza chleba. W mijającym roku popróbowatał zwyczajstwa, posmakowałałam satysfakcji i dumy, ale doświadczyłam również goryczy porażki niezrealizowanego celu, o który powinnam powalczyć najbardziej. Dałam sobie bowiem wpuścić truciznę odpowiedzialności, wstydu i poczucia winy za tych, którym te uczucia są obce.

Dlatego mam ochotę spędzić wszystkie najbliższe, najkrótsze noce, leniwie pożerając wzrokiem świetlisty bochen lub choćby ułamać róg astronomicznego rogala. Nienasycona porzucam monotonną dietę obowiązkowości, wprasząc się na ucztę życia, której potrawy podobno najlepiej smakują o głodzie. Co wieczór będę raczyć się dobrą książką, aromatyczną opowieścią ze szczyptą chili, okraszona wątkiem biograficznym, albo dla odmiany ciężkostrawnymi wersami krwawej zbrodni. Z poranną kawą w ręce będę jak motyle intensywnie smakować ogród stopami. W cichości serca i domu będę rozkoszować się liryczną, łagodną nutą, nucić ją nieudolnie, czując słodką przyjemność na wibrującym podniebieniu. Zbrzydły mi już czekoladki, które tylko ztudnie okazywały zrozumienie. Będę delektować się każdą chwilą spędzoną z najbliższymi. Znajdę wreszcie czas, aby spokojnie przetrwać owoce sporów i niedopowiedzeń, które, niby zapomniane, zalegają gorzką żółcią w szufladach pamięci. Nie boję się łączenia smaków w jednym

daniu, z uważnością zmierzę się zarówno z kwasowością finansowych debetów na wakacyjne marzenia, jak i łagodną kremowością wieczornych, dziecięcych przytulań, które przyjemnie balansują te braki. Nie tworzę w wyobraźni potrawy intensywniejszej niż w rzeczywistości i nie planuję też ogromnych porcji. Będę rozsmakowywać się w każdym kęsie, chwilowo wolna od schematów, czerpiąc prawdziwą przyjemność z deseru, którym okazała się dorosłość.

AGNIESZKA ZATYLNA: polonistka, bibliotekarka, arteterapeutka. Na co dzień szuka niekonwencjonalnych pomysłów, aby zachęcić uczniów do rozpoczęcia przygody z czytaniem. Te działania zostały wyróżnione: dwukrotnie przez fundację Cała Polska czyta dzieciom oraz nagrodą Matego Zwyrtały na Międzynarodowym Festiwalu Literatury dla Dzieci w Rabce.



Aneta Długołęcka

z serii **Toscana**

jak dojrzały owoc

spadam do twych dłoni
w pełni gotowa na zerwanie
nadgryziona przestaję być sobą
przy niespiesznej konsumpcji
puszczam soki
słodycz cieknie po ustach
zjedz mnie
zjedz do końca

do dna

piję duszkiem do dna
jakby jutro miał spłynąć potok słów
który odbierze ulubiony zapach

piję łąpczywie
głęboko wciągając
każdy ułamek zachodzącego aromatu

połykam bez umiaru
nie dając szansy
na wspomnienie smaku

uomo vecchio (starcy)

siedzą na ławeczkach przed domem
filozofia płynie ich żyłami
pochłonięte książki
to wielokrotność zmarszczek
dumnie noszonych cały dzień
mają czas
jak to Włosi
na wysokie bujanie
Włoszki w tym czasie
duszą pomidory
gniotą biały puch z wodą i solą
przecież bujanie
wzmaga apetyt

fattoria il Poggio

winnice i gaj oliwny
raj dla smakoszy
esencja bazylii na niestonym chleбку
pieści kubki
tradycyjne penne z grzybami
zaspokajają każdego
prostota bije na głowę
syn wniebowzięty
pełnoletni dopełniają rozkosz
sfermentowanym nektarem
dialogi
taniec widelców
proste ruchy wina
na deser migdał w otoczenie
spełnienie za nami

ANETA DŁUGOŁĘCKA: poetka i fotografka. Gorzowianka z wykształceniem ekonomicznym. Związana z RSTK i nieformalną grupą fotograficzną fCzasowicze. Debiutowała w 2011 roku w „Pegazie Lubuskim”. W 2014 roku, w ramach *Portfela z wierszami Poetów Okrągłego Stołu* ukazał się jej tomik *Historia jednej znajomości*. W 2024 roku w Bibliotece Pegaza Lubuskiego wydała tomik poezji *Pierwszy tatuaż*.

ZNOWU Z NIĄ GADAŁEM

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Znowu z nią gadałeś?!

Wzrok... Znowu ten wzrok. Pełen napięcia, niepewności. Spoczął na mojej twarzy. Gadałem, rzeczywiście gadałem. To fakt – po każdym takim gadaniu byłem nie do poznania. Z pewnością niezatarte ślady jej ponadfizycznej egzystencji wzbogacały i zubażały jednocześnie moją psychikę. Byłem tego świadom. Im więcej przeprowadzaliśmy rozmów, tym i bardziej, i mniej byłem doświadczony w sprawach metafizyczno-ludzkich poprzez wzajemne przenikanie się tych światów, o którym to przenikaniu nie od razu miałem pojęcie. Prawdziwie duchowe doznania musiały przekształcić mój system wartości i zweryfikować we mnie moje „szkiełko i oko” na zdecydowaną korzyść „czucia i wiary”...

Pierwszy raz spotkałem się z nią w dość typowy dla takich spotkań sposób. Przechodziłem obok cmentarza. Aż tu nagle coś zaszeleściło, zakotłowało się. Zabułgotało? Ustyszałem trzask gałęzi i... nic nie zobaczyłem. Był półmrok. Choć to spokojna okolica, moje przerażenie brało górę. Ostatecznie każda okolica może być spokojna do jakiegoś czasu. Ludzie wtedy mówią: „A to przecież była taka spokojna okolica”. Naraz jęk. Ustyszałem jęk. Taki gardłowy, głęboki, taki nieludzki jęk. I wtedy ujrzałem po raz pierwszy. Zobaczyłem kotyszącą się gałąź. Nie było wiatru. Ktoś po prostu wykorzystywał właściwości sprężyste bzu i huśtał się na gałęzi! Przystanąłem. Gałąź poruszała się coraz gwałtowniej. „To pewnie ptak” – przemknęło mi przez myśl. Ale nie dostrzegłem nawet najmniejszego ptaka... Za to poczułem... coś jak zapach gotowanych z cebulą grzybów. Później czułem już zawsze wyraźniej i, zdaje się, że czuć było ten zapach i ode mnie...

A dzisiaj znowu z nią gadałem. Ma na imię Dusza, ale wolę ją nazywać Duszczyką, bo jest taka niewinna, zagubiona i niepewna siebie. Nigdy nie pytam ją o jej właściciela i czuję, że jest mi za to wdzięczna. Zresztą wszyscy doskonale wiedzą, co dzieje się z człowiekiem, kiedy opuszcza go dusza. Poza tym z powodu jej egzystowania w pobliżu cmentarza śmiem przypuszczać, że ten, kto ją posiadał, prochem się już staje i w ogóle nie ma wpływu na bytowanie jego duszy.

Opowiada głosem kobiecym, szczególnym, o wyjątkowym brzmieniu, głosem, który w zaświatach być może jest na porządku dziennym, ale tu stanowi coś zaskakującego i niepowtarzalnego. Jestem dziwnie przywiązany do tego głosu. Aż chce się słuchać...

Bo Duszczyka ma pewien problem. A ja, jako mężczyzna, nie jestem w stanie jej pomóc. Martwi mnie to, bo jeszcze wybierze sobie innego rozmówcę. A wtedy byłoby mi naprawdę ciężko...

Tak więc gadamy sobie z Duszczyką od czasu do czasu...

Opowieść Duszczyki

Tym razem była moim odbiciem. Jak w lustrze, na powierzchni ukazywała się raz po raz. Moja twarz... Wraz z bulgotaniem zupy twarz zmieniała się: wykrzywiła w grymasy, rozszerzała w uśmiech, który był jakoś dziwnie obcy, jakby wcale do mnie nie należał... Inferno garnka znowu chciało triumfować nad kuchenną codziennością. Mało tego – rozpryskiwało się to piekło na cały świat! Zbierałam z podłogi kawałki marchwi wypchniętej z garnka. Wchłaniałam zapachy zapalczonej siarki przeznaczone tylko dla mnie. I wciąż nie rozumiałam – dlaczego?!

Gdy wyrzuciła z siebie nadmiar, odpoczywała. Jakby wiedziała doskonale, że poprzez spożycie znajdzie się gdzieś, w czymś wewnątrz, aby zamieszkać tam na stałe. Moja rola w procesie powoływania jej do życia była nad wyraz silnie akcentowana w codzienności. Przebudzona wrzeniem, przeskakiwała do talerzy. Wiedziała, że ode mnie tak wiele zależy. Mogłam do woli solić i pieprzyć, zagęszczać i doprawiać. Taka była moja rola – Wielkiego Maga. Wielka księża tajemnic, dla kamuflażu zwana książką kucharską, podpowiadała, jak stworzyć rzeczywiste чудо. A gdy ustawał już proces długotrwałego bulgotania... kiedy już cały zasób min i grymasów na powierzchni zupy został wyczerpany – właśnie wtedy następował proces serwowania.

Najpierw wielką chochlą utręcałam jej kawałek ucha. Nie wolno było przecinać powierzchni prosto, w głąb twarzy – wtedy można było zostać oszpeconym na całe życie. Dopiero trzecie wprowadzenie chochli mogło pozwolić wreszcie na dotknięcie twarzy w garnku.

A później – w każdym talerzu leżała cząstka duszy. Czasami wielka i przyciężkawa – mieściła się w kawałku mięsa z zupy. Niekiedy była lekka jak piórko pietruszki. W innym talerzu była twardą grudką ziemniaka albo miękkim, rozgotowanym kawałkiem marchewki. Nigdy nie było wiadomo, która część komu się trafi... Wiadomo było jednak, że się rozprzestrzenia. I to niekoniecznie dla dobra ludzkości...

Mój patent na kulinarną doskonałość prawdopodobnie był spowodowany zawarciem paktu z diabłem, ze wszystkimi jego faktu konsekwencjami. Oczywiście – widziałabym najchętniej własny przebyt w zaświatach w postaci złotowłosej istoty, która gotuje Najwyższemu swe najznakomitsze dania. Nie wyobrażałam sobie wieczności w kotle z bulgoczącą zupą, której na dodatek prawdopodobnie nie byłabym twórczynią, a jedynie stanowiłabym jej ingrediencję. Dlatego nastąpił taki czas, kiedy postanowiłam coś zrobić ze swoim życiem, aby pakt z diabłem nie miał pozaziemskich konsekwencji w postaci piekielnego tygla ze mną we wnętrzu.

Co jeszcze zapamiętałem, czyli opowieść Duszczyki w postaci mowy zależnej...

Duszczyka opowiadała. Jak to najpierw postanowiła nauczyć się psuć to, co tworzy. Pieprzyła więc i soliła bez opamiętania. Starata się zostawiać niedogotowane to i owo. Raz przyrządziła coś na starym tłuszczu, a w sytuacji skrajnego

poczucia desperacji postużyła się śmierdzącym mięsem. Elementem sabotażu bywały także niedogotowane kawałki marchwi. Ale pomimo jej starań, potrawy nadal miały wyśmienity smak. Wysublimowany dla smakoszy nieco bardziej pikantnych dań. Wyrafinowany aromat dla pragnących odmiany. Po prostu – wyborne! Nawet zwykła, szara kasza przeobrażała się w doskonały krupnik z wielkimi okami tłuszczu, poprzez które na człowieka spoglądała ONA. I organoleptycznie doświadczała zagłębiania się w otwór gębowy oraz przepadania we wnętrzu, które już nigdy miało nie być takim, jak wcześniej. Zawsze już nastawionym na wyjątkowe techtanie kubków smakowych, któremu trzeba będzie bez przerwy więcej i więcej, ciągle, nieodmiennie więcej, doskonałości.

Prozaiczna koncepcja – ot, po prostu – talentu, nie wchodziła w grę. To był bowiem zdecydowanie jakiś nadtalent, a chochla zaczęła spełniać funkcję czarodziejskiej różdżki. Na swój sposób było to nawet wygodne: zapachy, aromaty, wabiki, kulinarne feromony... Wszystko to o charakterze afrodyzjaków, niemalże. Toteż i mężczyzn wokół tych garnków nie brakowało. To już nie było takie banalne – przez żołądek do serca. To zaczynało być niebezpieczne.

Fortele kulinarne z soleniem i pieprzeniem w tle – w pewnym momencie to było już zdecydowanie za mało. Wreszcie postanowiła zabić. Jesień tamtego roku była przepiękna! Długie spacerunki po lesie, przebieranie w grzybach... Można było się pomylić... Ten jeden, jedyny błąd w sztuce kulinarnej... Borowiki były naprawdę szatańskie... Nie wie, jak przeżyli tę ucztę.

I wtedy właśnie potwierdziła! Potwierdziła zawarcie paktu z diabłem!

Teraz już folgować sobie w sztuce kulinarnej do woli i bez grzechu. Na półmiskach ożywiała martwe ryby, a z pomidorów i ogórków robiła ludziki, które zaczynały żyć własnym życiem. Odrósł jej nawet kciuk odcięty potwornie ostrym nożem podczas krojenia mięsa. Odrósł jakby specjalnie po to, aby dalej mogła czynić swe kulinarne cuda, sprzymierzając się z diabłem. I tylko on – diabeł – jakoś się o nią nie upominał.

Aż raz kawałek powszedniego chleba utknął jej w gardle.

I odtąd stała się Duszczyką skaczącą z gałęzi na gałąź i rozsiewającą kulinarne zapachy. Ma pełne konto win, z których niełatwo jej się oczyścić. Czarowała, chciała zabić, uwodziła i wreszcie padła ofiarą powszedniego chleba. Ale tu, przy tym cmentarzu bywa przede wszystkim po to, aby dowiedzieć się, jak było tak naprawdę z tym paktem. I dopóki się nie dowie, nie zazna spokoju...

Tłumaczy mi, abym nie wierzył bezkrytycznie w to, że „umarli już wiedzą”. Egzystując sobie na podszewce świata, od czasu do czasu porusza siłą pośmiertnej energii gałąź lub podyskutuje, ale wciąż nic nie wie. Nie ma najmniejszego pojęcia, ile jeszcze w takim niebycie trwać będzie. Zresztą pewnie i tak skończy w piekielnym garze, do którego przygotowywana była całe życie. Dlatego stagnacja na gałęzi przyprawia ją o męki już chyba przedpiekielne...

Moja codzienność (bez Duszczyki)

Przy gazowo-elektrycznej kuchence stała moja żona. Usłyszałem: „Znowu z nią gadateś?”. Pytanie nie wymagało odpowiedzi. Dziwnie znajomy zapach. I ten głos – gardłowy, głęboki... Przyrządziła grzyby. Właśnie borowik szatański zdejmował przede mną swój kapelusz. Odkupiłem się grzecznie. I tak wiem, że wkrótce zawładnie mą duszą. Żona tymczasem dźgała go chochlą aż miło – nie na ukos, nie pod kątem, ale na wprost. „Zno-wu-znia-ga-da-łeś” – natrętne stwierdzenie wystukiwało rytm jej dźgnięciom.

A jednak przeżyliśmy borowika szatańskiego. Odkupiłem żonie chochlę, którą zniszczyła, przyrządzając grzyby. Ona w ogóle nie potrafi gotować!

Czasami tęsknię za tamtym gadaniem na cmentarzu. Ale wiem, że w tym świecie kolejna duszczyka rozważa już problem predestynacji i zastanawia się nad tym, co do garnka włożyć. To dusza, którą ujarzmiłem i która nie napawa mnie lękiem, choć być może nie ekscytuje aż tak bardzo. Ale za to jem wszystko, co popadnie. I staram się, aby nie stała się ofiarą chleba powszedniego.

Od czasu do czasu mam wrażenie, że moja żona może być diabolicą lub choćby prawą ręką diabła. Za to jaką ma duszczykę! W zaświatach, prawdopodobnie, będę składnikiem gotowanej przez nią zupy. Składnikiem, który metodycznie dźgać będzie przez wieczność całą wielką chochlą. Ta perspektywa zabija skutecznie mój ziemski hedonizm. Dlatego się staram.

I żadnego wąśpania się z duszczykami! I żadnego gadania! Nie pomagam już zbłąkanym duszom. Za to staram się dociec prawdy poprzez czytanie książek kucharskich. Trochę już rozumiałem. Gotuję coraz lepiej!

ANETA GIZIŃSKA-HWOZDYK: nauczycielka języka polskiego i rosyjskiego w II LO w Gorzowie. Opiekunka szkolnego koła teatralnego i grupy początkujących literatów. Autorka nagradzanych opowiadań i małych próz. Wydała zbiory opowiadań *Biedroneczko, leć do nieba* (2010) oraz *Bzyczanka na żyrandolu* (2023).



HEGEN O SMAKACH

Andrzej Haegenbarth



Barbara Kucharska – *Harmonia natury*, akryl, płótno, 2019 r.

Synonimy smaku: gust; klasa; poczucie piękna, harmonii i elegancji; styl; wykwint; wytworność.

Mam Smaka na Maka – myśli, że myśli samodzielnie człowiek konsument i pośpiesznie zmierza do najbliższego fast foodu.

Człowiek wyrafinowany powoli zanurza magdalenkę w herbacie, delektuje się nią i pisze *W poszukiwaniu straconego czasu*.

A ja? W czasie odnalezionym czule obejmuję głowę Magdaleny, całuję jej pełne usta o smaku zakazanych owoców i coraz bardziej zagłębam się w nieznanne rejony rajskich ogrodów.

Wysmakowany.

Wypatrzyłem go na zbiorowej wystawie Ekoartu (2025). Znajdował się znacznie poniżej linii wzroku wśród kilkudziesięciu prac. Krzykliwych, niby symbolicznych, a w rzeczywistości banalnych, często nie na temat i w dodatku kiepsko

namalowanych. Żadnych nawiązań do często widywanych żółto-niebieskich barw Ukrainy czy naszych biało-czerwonych. Obraz ukazywał fragment bezludnej plaży, wyciszony pas niebieskiej wody i szaro-różowawego nieba. Ten widok dopełniały znajdujące się na pierwszym planie badyle, niewyrosłe, a już brązowe, spalone słońcem. Najwyższe z today były zielone, skłaniały się ku sobie i sięgały nieba. Ten wysmakowany, zwykły-niezwykły akryl noszący tytuł *Harmonia natury* (2019) namalowała Barbara Kucharska, flecistka, której pierwszym zawodem jest muzyka. Może stąd to zharmonizowanie użytych elementów, nienaganna kompozycja i wrażliwość w kładzeniu smug farby, cieni i ciemnych brązów znajdujących się przy dolnej krawędzi kompozycji. W tej pracy piękno natury zostało przestonięte przez piękno sztuki. I jako takie porusza wyobraźnię i skłania do myślenia właśnie o NATURZE.

*

De gustibus non est disputandum (O gustach się nie dyskutuje). I słusznie, bo są to wrażenia subiektywne wyrabiane w ciągu wielu lat, a może i częściowo wrodzone, podobnie jak talent. To, jaki ma się gust/smak, jest szalenie istotne w sztukach pięknych. Szczytów sztuki nie osiągnie ktoś, komu brakuje poczucia piękna, wyrafinowania i harmonii. I nie można się tego nauczyć, bo te przymioty związane są z osobowymi cechami człowieka, jego wrażliwością, inteligencją i często zdolnościami manualnymi. Dla mnie artystą obdarzonym w najwyższym stopniu wymienionymi atrybutami jest chiński reżyser Zhang Yimou, autor takich filmów jak: *Hero*, *Dom latających szytyletów* i *Cesarzowa*. Jego olśniewające spektakle wizualne nie mają sobie równych. Niemniej niezwykle kunszt tego reżysera i jego wyrafinowanie były również widoczne w 2008 roku w ceremoniach otwarcia, a zwłaszcza zamknięcia letnich igrzysk olimpijskich w Pekinie. Wyjątkowy talent, potrafiący zapanować nad estetyką w całych reżyserowanych przez siebie dziełach. Innym udaje się to niekiedy tylko we fragmentach.

HEGEN (WŁ. ANDRZEJ HAEGENBARTH): foto-grafik; autor książek, artykułów i szkiców monograficznych o sztuce współczesnej; pomysłodawca i kurator wystaw. Pracował jako redaktor w takich cenionych pismach, jak: „Sztuka”, „Wprost”, „Nurt” oraz w Muzeum Narodowym w Poznaniu. Ma w dorobku książki: *Sztuki plastyczne w Poznaniu 1945-1980* (1987, współautor), *Eros i współnicy* (1989), *Wielka miłość i dewiacje* (1990, 1991), *Eros i znawcy* (1994), *Być artystą!* (1994), *Roman Kosmala* (2024, współautor) oraz wiele wstępów do albumów, katalogów, a także szkiców i wywiadów z artystami. Miał kilkanaście wystaw indywidualnych i uczestniczył w wielu wystawach zbiorowych.

SMAK ILUZJI

Łucja Fice

Przedwczorajszy dzień, choć słoneczny, zakończył się łzawo. Zrozumiałam, jak jestem sama. Nie zadzwoniła ani ona, ani ona. Te dwie bliskie osoby zawiodły mnie. Zapomniały? Następne pół godziny przeleżałam plackiem na kanapie, gapiąc się w sufit. Sama? Nie! Były ze mną moje myśli i ta, co w środku, moja dusza, czyli pojedyncza, bezcielesna postać monady kwantowej z kwantową pamięcią, która wybrała sobie mieszkanie we mnie. Tam jestem. Smutna istota mojego „ja”. Może zacząć sprzątać? – pomyślały te kwanty. Zaczęłam więc omiatać wzrokiem sufit i rozmawiać z moim ego o tym całym bezsensie życia. Byłam go pewna w tamtej chwili. Może tylko zdawało mi się, że miałam otwarte oczy? Spojrzałam w kierunku drzwi. Stała. Moja matka, jak z dawnych lat, kiedy mnie odwiedzała. Jej widok spowodował, że uśmiechnęłam się, a słowo „samotność” uleciało jak wróbel ze stolika z kruszynką ukradzionego ciasta. W tłukących się pod czaszką myślach zaczęły zwyciężać kompromisy. W tej pustce kulki myśli, jak zwykłam ten stan określać, przeżywałam mutacje ignorancji mojej osoby przez koleżanki, do których pałałam zaufaniem. Ukryta pod kocem rozmawiałam z Nią, moją Matką. Mówiłam Jej o bezsilności, o byciu tylko z moim ego.

Prowadziłam monolog. Spowiadałam się szeptem i byłam pewna słuszności słów. Myśli same układały się w ciąg frazesów: *Lekceważą mnie; Być może znajomość ze mną jest piątym kołem u wozu; Zepsuły mi dzień; Czekalam na to spotkanie; Zeszłam trochę z tonu oskarżyciela: Może ona jest chora; Może ona zapomniała.* Myśli zastępowały inne, wśród których znalazły się głupie zdania: *Nigdy do nich nie zadzwonię, pindy; Nie istnieję dla nich.*

Usiadłam. Powiedziałam: *To będzie moja prawda. Nasza PRAWDA.* Czuję się w tamtej chwili niewielkimi procentami świadomości, która wybrała możliwość spotkania z Tobą i uczyniła ją rzeczywistą. RZECZYWISTOŚĆ ZAMKNIĘTYCH OCZU. Nawyk – pamięć kwantowa. Dziwne, że w tej pamięci nie ma złudzenia. Jest czas wyczekiwania na następne obrazy i słowa. Na zauważenie mnie. Jestem. Tu jestem. Pozwoliłam się wciągnąć iluzji, która, rozwijając się coraz więcej, uczyniła mnie bezbronną. Nie chciałam wracać do siebie dawnej, a tkwić w tej matrycy. Walka z iluzją na nic się zdała, bo iluzja miała w sobie siłę, by mną zawładnąć, zadać ciosy. Więc wierzyłam, że tam jesteś. Jesteś tą, co wydała mnie na świat w pewnym celu. Jesteś moją Mamą. Nagle zaczęłaś się bezszelestnie poruszać po pokoju, a ja wydobywałam z siebie krzyk samotnej osoby. Krzyk zamkniętych ust, który tylko ja słyszałam. Potem przyszedł moment wstuchiwania się w Twoje słowa. Tak!

Słyszałam je: *Uśmiechnij się; Zaplanuj swoje życie.* Potem milczałaś. Choć wiedziałam, że to iluzja milczenia, nie mogłam zrozumieć, jak to się dzieje, że ta ma

smak słów, zapach i kolory towarzyszące Tobie. Mogłam dotknąć te barwy. Pamiętam, jak Twoje spojrzenie mnie ścigało, a ja, rozdrażniona tym wzrokiem, uciekałam od swojego żalu. Nagle poddałam się odwadze, by zbliżyć się do Ciebie.

Zrozumiałam, że tylko MATKA JEST NAJBLIŻSZA. Wówczas iluzja spotkania prysła, a ja nadal gapiałam się w sufit, odgradzona od Ciebie milczeniem. Zostawiłaś mi piękną ciszę i prawdę o żalu, którego już nie ma. ZOSTAWIŁAŚ MI SMAK ILUZJI.

27 maja 2018

ŁUCJA FICE: poetka, eseistka, pisarka. Autorka cyklu powieści emigracyjnych o opiekunkach i pielęgniarzach pracujących w Europie po 2004 roku (*Przeznaczenie; Wyspa starców; Za kryształowym lustrem*), oraz wspomnień *Drużyna grzechu* i trzech tomików poezji. Członkini ZLP i RSTK. Nagrodzona przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego medalem Zasłużony dla Kultury Polskiej. Uczestniczka programu „Emigrantki własnym głosem” na Festiwalu Emigracji w Gdyni. Laureatka konkursów ogólnopolskich.



Grzegorz Bazylak

MASSADA

W upale
stygnie trawa

Śłońce
dotyka powietrza

Zboże skóry
dojrzewa

Obok cierpienie
cienia

Wiedza
ciągle nieznaną

TO NIC, KTÓRE JEST

Zaraz znów nas dopadnie, z tymi, którzy pożerają się nawzajem, pokryte bliznami, patrząc spode łba, z tymi, którzy nawzajem się pozdrawiają, omijając miejsca spotkań zasypane informacjami, faktami, punktami widzenia, przypomina wystraszone zwierzęta, gdy tylko wyjdziemy z tego zaułka i będziemy iść ulicą miasta, wystawi głowę z okna, snuje się po terenie, włóczy się po lesie, szybko kojarzy fakty, zawsze jest świadkiem i stoi gdzieś po tamtej stronie, a wtedy, potrząsając głową, rusza w naszą stronę, a kiedy nikt nie patrzy, przysiadła się obok i przejmuje wszystko, nie mając wyboru, nie poddaje się fali wątplenia, zajmuje się tym ciągle, łatwo dopuszcza nas do siebie, utrzymuje się w biegu, nikomu nie płaci, zawsze jest w trasie i prowadzi interes, bo w jego wyglądzie nic nie rzuca się w oczy, gdy rzuca się na zdobycz od pierwszego spotkania oko w oko, wtedy nic, to co ludzkie jest, czuje, że żyje, nie robiąc przy tym nic w naszym imieniu, ale za naszymi plecami

WERSJA DEMO

On mniszek ona dmuchawiec reszka śpiąca pod orłem
 na jednogroszowej monecie ze stali pokrytej mosiądzem
 o słomkowej barwie moczu zbieranego co rano przez
 uprawnione sługi tych kulawych wodzicieli ślepców
 którzy przyjdą także po ciebie w dzień ojca albo dziadka
 dawno splukanych stłamszonych wykastrowanych przez
 korzystne lokaty i odsetki tygrysów w perłowych stringach
 lwów z patagońskiej dziczy leopardów z dzikich pól
 wyrażających zgodę gdy klikają w zhakowane ikony
 poszukujących zagubionych wzorców dominacji
 w ślepych uliczkach feminatywów doczepianych
 natrętnie do męskosobowych pociągów bez pary
 w tłokach które po kilku przesiadkach na dworcach
 bez cyfryzacji niewzbudzone do życia znikają bez śladu
 za każdym wyprofilowanym i ułożonym starannie
 według geostacjonarnych danych zakrętem na ślepych
 torach za estakadą trójmorza albo z czerwonym winem
 w garści podczas całonocnego nagrywania rapowanej
 wersji *We can funk you* w zapomnianym studio w Paisley
 Park lub Hackensack marząc przy tym jak dusza i sumienie
 o zerwanych skalpach zamiast czapkach z głów albo
 zapalnikach z głowic zanim pewnego dnia jedno będzie
 sędzią a drugie katem bo chociaż ona należała do niego
 to on przy niej nie został zatem *sinite eos**

**Nowy Testament, Mt 15,14: Zaniechajcież ich, ślepi są i wodzowie ślepych* (przet. z j. łac. ks. Jakub Wujek (1541-1597), Kraków 1593);

Zostawcie ich! Ślepi są przewodnikami ślepych, a jeśli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną (przet. z j. gr. Towarzystwo Biblijne w Polsce, Nowy Przekład, Warszawa 1991)

Z KSIĘGI OPPENHEIMERA

To, co rozgrywa się, płynąc
z prądem, nie oznacza zmiany,
dopiero to, co przegrywa, tonąc
w słowach i działaniach,
gdy pomoc zostaje wysadzona
na brzeg roztrzaskanego okna, które
straszy horyzontem w zgliszczach, nadając
kierunek ucieczki z rejonu pod ostrzałem
wilczych spojrzeń milczącej większości,
ocenianych jako odrębny akt agresji,
który w ten sposób ożywia, jak światło
głodnego księżycy spod rozwianych chmur,
odebrane nam przez tę większość,
wbijającą na co dzień gwoździe
w swoje trumny, prawo do czynnego
oporu, a przy okazji każe zastanowić się,
czy przypadkiem nie zastrzyła sobie
na ten los: obrazu grzyba z pustynnego
piasku na tle nieba, 200 mil od laboratorium
Los Alamos, niedaleko Alamogordo, w stanie
Nowy Meksyk, wczesnym rankiem
w dniu 16 lipca 1945 r.

prof. GRZEGORZ BAZYLAK: autor niemal 400 artykułów, komunikatów i opracowań naukowo-badawczych oraz redaktor kilkunastu polskich i zagranicznych monografii naukowych. Był pracownikiem naukowo-dydaktyczny m.in.: Politechniki Łódzkiej, Akademii Medycznej w Łodzi i Universiteit Antwerpen w Antwerpii. Poetycko zadebiutował w 1977 roku w Łodzi, w lokalnym piśmie społeczno-kulturalnym „Do Rzeczy”. Publikował wiersze, recenzje, eseje i przekłady m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „Migotaniach”, „EleWatorze”, „Więzi” i „Lamusie”. Autor tomów poetyckich *Za moimi rzekami* (1978, Łódź), *Gdańska noc* (1998, Włocławek), *Dansing Polanica* (1999, Toruń), *Wszędzie blisko* (2013, Łódź), *Jedna tobie, druga mnie – wiersze i komentarze* (2014, Łódź), *Rewolwery Poli Negri* (2022, Gdańsk), *Manekiny Rubensa* (2023, Gdańsk), *Kwartet z Girony. Wiersze i przekłady* (2024, Gdańsk) oraz tomu recenzji teatralnych *Akcje, zwroty, odstony. Sezon jubileuszowy Teatru Nowego w Łodzi 1999/2000* i monografii krytyczno-literackiej *Faktura czy paragon. O prozie Zbigniewa Wilczyńskiego (1954-2008) i nie tylko*.

BRONIEWSKI BEZ POCHODÓW

Jerzy Hajduga

*Nie wiem, co to poezja,
nie wiem, po co i na co,
wiem, że czasami ludzie
czytają wiersze i płaczą...*

Władysław Broniewski

Może nie każdy czytał powieść *Ferdynand* Gombrowicza, ale na pewno każdy zna jeden z najzabawniejszych fragmentów tej powieści, kiedy to na lekcji profesor Bładaczka tłumaczy wszystkim uczniom, że Słowacki wielkim poetą był. W końcu spocony profesor wyjmując z pugilaresu fotografię żony i dziecka („Gałkiewicz, ja mam żonę i dziecko! Niech Gałkiewicz przynajmniej nad dzieckiem się ulituje!”) i próbuje wzruszyć niesforenego ucznia Gałkiewicza. Ten jednak powtarza w kółko swoje: „Nie mogę, nie mogę. Nie mogę zrozumieć, jak zachwyca, jeśli nie zachwyca”.

Ta lekcja przypomina mi ongiś równie „legitymacyjne” podejście do poezji Broniewskiego. Skądinąd bardzo dobra poezja była nie tylko omawiana w szkole, ale także nagłaśniana na akademiach i pochodach pierwszomajowych. Z tą poezją można się było zapoznać również na wagarach. Gałkiewicz, gdy uciekał z pochodów, dalej nie był pozbawiony wystuchiwania echa tych wierszy rozlegających się z megafonów. Gałkiewicz wtedy po raz pierwszy w życiu coś powiedziałby na głos, ale mówił jeszcze szeptem swoje „nie mogę, nie mogę”. Dzisiaj uczeń Gałkiewicza może już głośno powiedzieć „nie mogę, nie mogę”. Ale nikt go nie pyta.

Co tam Słowacki, co tam Broniewski, odpowiadają maturzyści. Ściągi wystarczą. Szkoda czasu na czytanie.

Jestem kolejnym pokoleniem, które przemija i długo wraca. Uśpione – i ja uśpiony – na „inne wiersze” choćby tutaj przeze mnie wspomnianego Władysława Broniewskiego. Te bez pochodów, akademii i wieczornic z głębokiej komuny. Wracam do jego twórczości z czystej ciekawości (bez ławy szkolnej) dla samego siebie, smakuję te utwory, nawet zdążyłem się pochwalić. I usłyszeć pytanie tegorocznej maturzystki:

– Przepraszam, że będę szczerą, a kto to jest Broniewski?

JERZY HAJDUGA: poeta, publicysta. Ksiądz katolicki. Wiersze publikował między innymi w „Tygodniku Kulturalnym”, „Poezji”, „Literaturze”, „Więzi” i „Frazie”. Wydał ponad 20 tomików poetyckich; najnowsze to: *Odpuścić od cudu* (2015), *Współbrzmienie* (2016), *Jeszcze* (2018), *Zatrzymać z czasu chwile* (2018), *Listy na stół* (2019), *Uważaj na siebie* (2020) oraz *Zostań i takie twoje odchodzenie* (2022). W tym roku ukazał się jego tomik *Przespiane sny*. Jest autorem scenariusza spektaklu poetyckiego *Ten pusty krzyż* wystawionego w olsztyńskim Teatrze im. Stefana Jaracza (1991). Prowadzi blog JerzyHajduga.pl.

SMAKI DZIECIŃSTWA

Janina J. Jurgowiak

Najbardziej pamiętane, najlepsze są smaki dzieciństwa. Dla nas, urodzonych w latach wojennych albo tuż po wojnie, były to chude czasy, biedne i zgrzebne. Matki nie doбираły produktów według ich wartości kalorycznych, mineralnych, witaminowych, chodziło tylko o to, żeby wypełnić żołądek, najeść się do syta. Ziemniaki, kluski, kasze, do tego rzadkie gulasze albo omasta, czyli przetopiona słoninka z tłuszczem, no i zupy. Zupy musiały być syte, więc gęste i dużo, żeby było na dolewkę. Kiedy wpadaliśmy zdyszani do kuchni, od progu wołaliśmy: jeść! Ręce myło się byle jak. Matka krzyczała: – Cały brud w ręcznik! Nie można doprać. A my już przy parujących talerzach. Kartoflanka w różnych wariantach – z kluskami to ulubiona zupa dziadowska, zalana żurkiem to zalewajka, z wrzucaną do niej kapustą kiszoną to zarzucajka. Ach, co to za zupy były! Poezja. Nigdy nie znalazłaś tu jakiegokolwiek kawałka mięska, co najwyżej skwarki. Te się zostawiało na koniec, żeby jak najdłużej zachować ich smak. No i barszcz z buraków, i szczawiowa z uzbieranego na łąkach szczawiu, jarzynowa. I jeszcze żurek. Żurek jadało się najczęściej późną jesienią i w zimie.

Matka musiała mieć żytnią mąkę. Zalewała ją ciepłą przegotowaną wodą i coś tam wrzucała, ziele angielskie, ząbek czosnku... i co jeszcze? Nie pamiętam. Na pewno nie liść laurowy, bo nie lubiła i twierdziła, że od niego żur gorzknieje, a głupie sąsiadki dodają i ich żurek jest niedobry. Aha! Obowiązkowa była skórka razowego chleba, żeby szybciej ukisł. Moja siostra opanowała sztukę kiszenia żuru na płatkach owsianych. Ja nigdy nawet nie próbowałam, zawsze kupuję gotowy, najchętniej na ryneczku i wyłącznie w szklanych butelkach. Jest – wydaje mi się – taki jak u mamy. Natomiast tajemnicą pozostaje smak kapuśniaku z kiszoną kapustą. Żebym nie wiem co robiła, nie mogę uzyskać tego pamiętanego z dzieciństwa smaku. Nigdy i nigdzie tak mi nie smakował jak ten w domu rodzinnym. Kiedy jeszcze żyła mama, dopytywałam, starałam się i wszystko na nic. Nigdy żaden kapuśniak nie smakował mi tak, jak ten pożerany zachłannie przy stole w kuchni moich rodziców. A kuchnia była duża, ze stołem, przy którym mogła zasiąść cała rodzina i jeszcze było miejsce dla zgłodniałego gościa. W kuchni skupiało się całe życie rodzinne.

Wracam do kapuśniaku...

Może miał taki niepowtarzalny smak, bo był z kapusty ukiszzonej przez rodziców? Beczka z kiszoną kapustą stała w piwnicy. Do moich obowiązków należało utrzymanie jej w nienagannej czystości. No więc może smak kapuśniaku od tego właśnie zależał, że wszystko było zrobione własnoręcznie, nawet ta kapusta była ze swojego ogrodu.

Sama też zaczęłam kisić. Nie wpłynęło to jednak na smak kapuśniaku. Więc może to beczka? Ja kisiłam w stoikach, nie w dębowej beczce. Ale to nic pewnego, tajemnica smaku pozostaje tajemnicą. Moja kiszona kapusta zawsze była pyszna, ale kapuśniak nie był taki jak u mamy. Pamiętam ten smak, dla mnie nieosiągalny.

Pamiętam też zapach i smak chleba graham. Normalny, z miejscowej piekarni, a smakował jak żaden graham dzisiaj. Przetestowałam obecnie wiele piekarni i nie znalazłam tego smaku. Raz już mi się wydawało, że mam, że ten trochę mi przypomina tamten smak.

Sprawdziłam, piekarnia przy ulicy Śląskiej. Poszłam na Śląską. Przy piekarni jest nieduży sklepik z własnymi wypiekami, kupiłam wytęskniony graham i znów zawód. To nie to! Zdawało mi się... To nie ten smak. Naczytałam się o grahamie. Wiem, że w Szwajcarii był lekarz o nazwisku Graham. Opiekował się emerytami. W trosce o swoich podopiecznych opracował recepturę odpowiedniego dla nich chleba. Ten chleb właśnie nazwano jego nazwiskiem. Jaka to receptura? Czytałam to dawno i nie pamiętam. Myślałam wtedy, że graham nigdy mi nie zabraknie. A teraz tęsknię do kromki graham z prawdziwym masłem.

A może w starości już nic nie smakuje tak jak wtedy, gdy miało się szczęście, dziesięć, dwanaście, szesnaście lat?

JANINA JURGOVIĄK: nauczycielka, poetka, satyryczka. Członkini Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury i Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Jej teksty znalazły się w czasopismach i antologii *Poetycki portret miasta Gorzowa i jego mieszkańców*. W 2018 roku wydała zbiór wierszy *Odroczenie*.



Mariusz S. Kusion**In my Mindfulness's eye***

wypijmy za błędy zanim nadejdą
za przebudzony sen kiedy błądzi
nieporadnie po tekstach źródłowych
prowadzimy rozważania za rękę

nie wiadomo czy zacząć nowy akapit
czy dać przypis czy lepiej za wygraną
życie odbiega od normy w puste ulice
puste piwnice puste urodziny

Kraków ma teraz tętno samotnika
Plan(t)y osuwają się w retrospekcje
kiedy słońce zachodzi na wschodzie
jak zwykle trwa jakaś wojna

tutaj prawdziwe emocje teoretycznie
mijam dzisiaj połowę życia rozmieniam
samorozwój fake newsy samoizolację
dostałem link do zdalnej spowiedzi

gdzieś błądzą pierwsze kolaże
nasz labirynt ma murale na zakrętach
między liniami czasowymi niepamięć
przelewa się gdy myślimy „gdyby”

* Tytuł nawiązuje do słynnych słów Hamleta *In my mind's eye* – oczami duszy

kwaśnEgo

niebo kwaśniej w rękach kończą się mapy
myśli ścigają pamięć fotograficzną
po ścieżkach dźwiękowych

to nic takiego przecież
światło do picia jeszcze nie zwietrzało

z nowym wiatrem pora zachwycić się od nowa
odnalezionym kolorem i nagraniem demo

demony piszą pamiętniki w wysokich nakładach
piętrzą się formy kostnieją kontrasty i *alter ego*
spaceruje po podwójnym dnie z głową

w chmurach wypchanych magnetyzmem

dźwięczy każda funkcja i fraza wdzięczy się
każdy wątyły wątek dobry na dobry początek

najwyżej wykona się remiks

Efemerie

twój smak
na końcu języka
jak spełnione obietnice

w moich oczach
przybierasz kształt
nagrody za całokształt

Effemerie

na początku języka
twój smak brzmi
jak dotrzymane obietnice

ale składasz uczucia
w ofercie – bez koperty

MARIUSZ S. KUSION: prawnik, publicysta, animator kultury, społecznik, trener nauki i szkoleń prawnych. Prowadzi blog www.kreatywnieoprawie.pl. Wydał cztery książki poetyckie: *Zarządzanie zasobami emocjonalnymi* (2015), tłumaczenie debiutu w wersji polsko-ukraińskiej (2017), *Błąd w sztuce* (2019), *Alterfakty* (2021). Tłumaczony na języki: angielski, włoski, bułgarski, serbski, holenderski i hiszpański. W 2024 r. otrzymał Odznakę Honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

8 kwietnia – w ramach Literackich Wtorków – miał spotkanie autorskie w Klubie Kultury Jedyńka w Gorzowie.

SMAK MIODU

Hanna Bilińska-Stecyszyn

Ulicę wiodącą do rynku przemierzałam kiedyś wielokrotnie. Teraz z trudem ją rozpoznawałam. Od wielu lat nie byłam w moim rodzinnym mieście. Deptak pełen kwiatów, masa nowych sklepów, kawiarniane ogródki, banki. Śpieszyłam się na spotkanie z dawnymi przyjaciółmi, byliśmy umówieni na obiad w restauracji w centrum. Mąż usiłował znaleźć miejsce do zaparkowania samochodu, a nie było to łatwe w gąszczu jednokierunkowych uliczek, szłam więc przodem, sama, bo już groziło nam spóźnienie.

W pewnej chwili przykuł moją uwagę kolorowy szyld widniejący na jednej z kamienic. „Smak Miodu”! Był jak ukłucie, choć bynajmniej nie pszczoły. Raczej igły gramofonowej.

Przystanęłam przed niedużą witryną. Nazwa sklepu sugerująca sprzedaż artykułów pszczelarskich oznaczała... antykwariat. Igła ukłuła dotkliwiej. Musiałam wejść.

 Za ladą stała młoda dziewczyna. Wyglądała na licealistkę.

 – Dzień dobry, czym mogę służyć? – przywitała mnie.

 – Dzień dobry. Można się rozejrzeć?

 – Oczywiście. Zapraszam.

Antykwariat wypelniony był niemal po sufit książkami, lecz nie książek zamierałam szukać. Pod jedną ze ścian, w przegrodach oznaczonych kolejnymi literami alfabetu, cisnęły się poprzytulane do siebie stare płyty gramofonowe. Ogromna ilość winylowych longplayów i tych małych płytek, z dwoma lub czterema nagrańmi. Wszystkie w kartonowych obwolutach, trochę już podniszczonych.

Tam podeszłam. Do przegródki z literą B. Jak The Beatles. Serce mi przyspieszyło. Trochę drżały palce wyciągające jedną płytę za drugą i odkładające je na miejsce.

 Nie było tej, której szukałam.

 – Mogę w czymś pomóc? – Dziewczyna podeszła bliżej. – Chodzi pani o jakiś konkretny tytuł?

 – Tak. Chciałabym... Szukam bardzo starej płyty, pierwszego albumu Beatlesów. Na nim jest taka piosenka, „A Taste of Honey”. „Smak miodu”, może pani wie. W końcu to nazwa tego sklepu, prawda?

 – Jasne! – Sprzedawczyni uśmiechnęła się życzliwie. – Choć gdy ten album nagrywali, mnie nawet nie było w planie. Ale to, skąd taka nazwa, wiem od dziadka. To jego sklep. Chwilowo go zastępuję, musiał zatutwić coś ważnego. Zaraz powinien wrócić – zerknęła na zegarek – to może sam pani opowie. Bo wie pani... – zawahała się przez chwilę – on... To znaczy mój dziadek... On ma tę

płyte, tylko że... Powiedział, że czeka na dziewczynę, z którą kiedyś słuchali tej piosenki. Czasem ją sobie puszcza. – Pokazała na staroświecki gramofon stojący na stoliku obok lady.

– Żałuję, że nie jestem tą dziewczyną. – Wysilonym uśmiechem z trudem maskowałam zaskoczenie. – Dziękuję pani. – Odwróciłam się w stronę drzwi. Serce wciąż waliło mi jak głupie.

Nie zdążyłam zrobić kroku. W drzwiach pojawił się siwowłtosy, lekko przygarbiony mężczyzna. Przywitał się uprzejmym „dzień dobry”, ledwie omiółtwszy mnie wzrokiem. Ot, klientka, jak tyle innych. Najwyraźniej nie rozpoznał we mnie znajomej sprzed lat.

– Cześć, skarbie! Trochę to trwało, ale już jestem. – Podeszedł do wnuczki i cmoknął ją w policzek.

Gdyby nie głos, pewnie też bym go nie poznała. I uśmiech. Tylko teraz towarzyszyła mu sieć zmarszczek i przebarwień skóry.

Ale przecież ja także się zmieniłam. Jasne włosy, długie do połowy pleców, zastąpiła krótka fryzura ufarbowana na ogniste rudości. Okulary na nosie. Dużo więcej centymetrów w obwodzie biustu i talii. Usta jak wąskie sznureczki.

Dawno temu były pełne i czerwone. Miałam wtedy dziewiętnaście lat, rozpoczynałam studia. On o rok więcej, już pracował. „Twoje usta są jak miód. Smakują dużo słodziej niż wino”, szeptał pomiędzy jednym a drugim pocałunkiem, gdy słuchaliśmy płyty Beatlesów. Przywiózł ją kiedyś z Londynu, kuzyn mu ją podarował.

– Dziadku, pani poszukuje twojej ukochanej płyty. Tej, wiesz, z piosenką „Smak miodu” – powiedziała dziewczyna.

– O, to ciekawe. – Antykwariusz wreszcie spojrzął na mnie. Miałam wrażenie, że na dłużej przykuła jego wzrok obrączka na moim palcu. – „Please, please me”, debiutancki album Beatlesów. O niego chodzi, prawda?

Przytaknęłam bez słowa.

– Miło, że pani też to lubi. Jednak przykro mi. Album nie jest na sprzedaż. Najwyżej... Może ma pani ochotę postuchać?

Nie czekając na odpowiedź, wyjął spod lady tak dobrze mi znaną okładkę ze zdjęciem czterech chłopaków z Liverpoolu wychylających się z jakiegoś balkonu. Uśmiechnięci, młodzicy Ringo, Paul, George i John... – Zawsze ją mam pod ręką – mruknął, wyjmując z obwoluty czarny krążek i ruszając w stronę gramofonu.

Powinłam uciec czym prędzej, lecz nogi nie zamierzały być mi postuszne. A może nie tylko one. Może również serce. Kawałek serca...

Rozległy się pierwsze uderzenia gitary towarzyszące piosence.

Znałam te wszystkie dźwięki na pamięć.

Teraz nie były słodkie. Nawet trochę zabolaty.

– Dziękuję, na mnie już czas – odezwałam się wreszcie. Słowa z trudem przecisnęły się przez skurczone gardło, ale grunt, że udało mi się odkleić od podłogi. – Szkoda, że nie jestem tą dziewczyną – skłamałam znowu, już głośniej. – Do widzenia!

Siwowłosa mężczyzna uśmiechnął się na pożegnanie i skinął głową. Nie odszedł od stolika z gramofonem. Nie ruszył za mną. Czy to możliwe, że nie poznał mojego głosu?

Jeszcze w drzwiach, a potem gdy już biegłam chodnikiem, gonił mnie jedynie magnetyzujący głos Paula McCartneya.

I dream of your first kiss, and then

I feel upon my lips again.

A taste of honey! Tasting much sweeter than wine...

HANNA BILIŃSKA-STECYSZYN: mieszka w Lubniewicach. Nauczycielka, literatka, recenzentka. W Oficynie Wydawniczej Silver opublikowała powieści: *Wbrew pozorom*, *Serce nie siwieje* oraz *Druga szansa, czasem trzecia*. Wydała także wspomnienia pt. *Pelunia* (nominowane do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego) oraz opowiadania w antologiach: *A wszystko przez tę książkę* i *Nikomu się nie śniło*. W 2024 roku ukazała się jej powieść *Wystarczy pokochać* oraz zbiór opowiadań *Sentymenty*. W tym roku swoją premierę ma jej powieść *Grosik szczęścia*.



Jolanta Karasińska

moje szczęście

nie ma wymiaru marzeń
 podarowane przez los

smakuje jak zielone jabłka

skradzione w sadzie
 pachnie poranną trawą
 i zbudzonym dmuchawcem
 kusi zuchwałą żółcią kwiatów
 i soczystą koniczyną

przydatną do wianka
 rozkołysane kolorem chabrów
 domyka czas
 dopełnia ciszę

wymownym westchnieniem.

Czereśnie

Zmysłowe dojrzałe
 Pachnące jak dobry dzień
 Po nieprzespanej nocy
 W pocałunku zawieszzonego dotyku
 Spełniających się marzeń
 Lepkie od stońca
 Nabrzmiące czerwienią
 Przeznaczenia
 Kuszą

Smak życia

Nie wiem czy potrafię odejść
 Zawalczyć o siebie.

Zmęczona
 Znużona zastaniam okna kotarą
 by uniknąć spotkania z księżycem.
 Po cóż on
 gdy tak do gwiazd daleko?
 Po cóż ty
 gdy nic cię z gwiazdami nie łączy?
 Liczysz jedynie na przetrwanie
 uciekasz by ominąć samotność
 którą tak przewrotnie nazywasz
 zrządzeniem losu

i bijesz brawo
 choć pisze scenariusze utędy.

A jednak Ty – tak brzmi dumnie.
 A ja?

JOLANTA KARASIŃSKA: barlinecka poetka, autorka utworów dla dzieci i dorosłych, tekstów scenicznych, scenariuszy kabaretowych. Wydała pięć tomików poezji dla dzieci oraz trzy zbiory poezji dla dorosłych: *Skrawek nieba* (2011), *Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami* (2013), *Poza horyzontem ludzkich spraw* (2020). Od kilku lat należy do grupy malarskiej „W Kręgu Sztuki”, a od 2018 roku jest członkinią ZLP. W 2019 za działalność artystyczną i promocję Barlinka otrzymała tytuł Ambasadora Barlinka.

Gabriela Rodak

podano do stołu

wyrwiesz swe ścięgna
pietruszką z wypadających
włosów udekorujesz półmisek
swój tłuszcz
przetopisz do kryształowego
kielicha krew puściła
z nosa i będzie sos podasz
na lustrzanej tacy odbijającej
zmęczoną twarz
ustyszysz pretensje
żądania o twoje kości

cisza

przedstawiasz mi nowe
hipotezy nie wiedziałam
że trzeba
ciszy by rosnąć
słońce
dwutlenek węgla woda
symbioza (nie w naszym
przypadku)
ale o ciszy w żadnym
podręczniku poradniku upraw
a jednak częstujesz
sowicie myślisz że
dzięki niej odbiję się
od ziemi

GABRIELA RODAK: lubuszanka, bibliotekarka, studentka UAM w Poznaniu na kierunku filologia polska. Od najmłodszych lat interesuje się literaturą i sztuką. Maluje akwarele. Śpiewa do muzyki z radia. Do szuflady (i nie tylko) pisze od wczesnej młodości. Debiutowała na łamach „Pegaza Lubuskiego”.

PAPUGA W KLATCE

Marcin Mielcarek

Nie odbierał od niego wieczorem i w nocy. Nie odbierał też rano, więc postanowił do niego pójść. Miał własne klucze do jego mieszkania. Zanim wszedł, użył jeszcze dzwonka, ale mu nie otworzył.

Kiedy znalazł się w środku, od razu zrozumiał, że coś jest nie tak. Pierwsze co usłyszał to odgłosy telewizora dochodzące z salonu. Co chwila wybuchał w nim gromki śmiech, więc musiał być to jakiś program rozrywkowy. Wszedł jednak do sypialni.

Znalazł go na łóżku. Leżał na plecach, miał lekko spuchniętą twarz, ale właściwie miał taką, odkąd pamiętał. Otwarte oczy utkwione były w suficie. Nie poruszał się. Klatka piersiowa wydawała się zapadnięta.

To jasne, że nie żył. Uduślił się własnymi wymiocinami. Takie rzeczy się przecież zdarzały. Wśród etatowych pijaków oczywiście.

Jego przyjaciel był nagi, to znaczy miał na stopach skarpetki i buty, ale nic więcej. Ubrania leżały na podłodze, razem z bielizną. Zastanawiał się chwilę, jak udało mu się tego dokonać. Potem ściągnął mu buty i zaczął go ubierać. Najpierw gatki, potem spodnie. Włożył mu też koszulkę, z tym miał największy problem. Ciało było ciężkie i sztywne, nie chciało współpracować. W końcu udało mu się doprowadzić go do porządku. Musiał przecież zadzwonić na pogotowie i poinformować o zgonie. Nie chciał przecież, aby lekarz oglądał jego przyjaciela w takim stanie, bo nie zasługiwał na to, aby potraktowali go jak zdechłe zwierzę. Oczywiście zastanawiał się, czy dobrze robi, to znaczy zastanawiał się, czy w ogóle powinien go ruszać, ale przyzwyczajenie nie pozwoliła mu na pozostanie biernym.

Otworzył okno, bo w powietrzu unosiła się mętna woń i wiedział, że był to zapach śmierci. Pozbierał butelki z podłogi, pozbierał też inne rzeczy, posprzątał trochę, poukładał. W kuchni to samo – wziął się nawet za zmywanie, ale w połowie przerwał, bo sterta naczyń w zlewie była za wysoka. Potem wszedł do salonu, znalazł pilota i wyłączył telewizor. Dopiero teraz usłyszał ćwierkanie papugi zamkniętej w klatce. Nie była z rodziny tych gadatliwych, taka zwykła, śpiewająca. Jego przyjaciel miał kiedyś żonę i to było powodem ich rozvodu. Gadatliwość. Oczywiście to i jego picie. Pomyślał sobie zaraz, że właściwie chyba powinien zadzwonić do jego byłej żony i poinformować o tym, co się stało. Nie miał ochoty tego robić, ale nie miał też chyba wyjścia. Mógł jedynie odłożyć to na później.

Papuga nie przestawała ćwierkać, więc zainteresował się nią. Kiedy dołączył jej wody i dosypał ziarna, zaczął zastanawiać się, co powinien z nią zrobić. Nie miał chęci zabierać jej do siebie, nie znał się na opiece nad ptakiem, nie chciał się nawet tego uczyć.

Usłyszał nagle dzwonek do drzwi, a potem pukanie i w pierwszej chwili udał, że go nie ma. Kiedy zorientował się, że ktoś naciska na klamkę i puka dalej, z większą jeszcze agresją, uznał, że nie może tego zignorować. Poszedł do korytarza i stanął pod drzwiami. Po drugiej stronie zobaczył kobietę. Otworzył.

Była krępa i miała nieprzyjemny wyraz twarzy. Zanim się w ogóle odezwała, załotał, że jej otworzył.

– Kim pan jest? – zapytała głosem równie nieciekawym co powłoka.

– Kim pani jest?

– To ja zadaję pytania, proszę pana! Gdzie jest Cichocki? Jest pan jakimś jego kolegą, co? Kolegą od kielicha, tak? Niechże pan gada!

– Mariusza nie ma.

– Co to znaczy, że go nie ma, co? Co to znaczy? Jest winny dwa miesiące za czynsz, a zbliża się trzeci. Przyszłam z nim porozmawiać.

– Obawiam się, że nie będzie to możliwe.

– Dlaczego? O co chodzi? Zapił się na śmierć czy co?

Nie odezwał się słowem, nie uważał, że musi tłumaczyć tej kobiecie cokolwiek. Zaczął powoli zamykać, ale ona zdążyła wsadzić swoje grube paluchy między drzwi.

– Co pan sobie myśli, co? – parsknęła. – Że kim pan jest? Że może mi pan tak zamykać drzwi przed nosem?

Powiedział jej kilka słów, które nie miały większego sensu, ale prawdy nie wyjawiał. W końcu udało mu się uwolnić od tej przedziwnej kobiety. Wrócił do sypialni, w której leżał jego zmarły przyjaciel. Zaczął się zastanawiać nad jedną sprawą, o której kiedyś nawet dyskutowali. Chodziło o to, że nie miał pewności, czy on tutaj leżał, czy już tylko ciało, pusta skorupa, skórzana wylinka po pierwiastku stanowiącym ludzkie istnienie. Dyskutowali wtedy o duszy. Czy człowiek ma duszę. Obaj uważali, że nie.

Westchnął ciężko i w końcu przemógł się, przeszedł do salonu, aby wybrać numer na pogotowie. Dyżurna po drugiej stronie nie wydawała się przejęta, więc zaczął się zastanawiać jak wiele telefonów dotyczących zgonów odbiera. Mieli przyjechać za jakiś czas, nie wiedział dokładnie kiedy, bo mu tego nie zdradzono. Spróbował też dodzwonić się do byłej żony Mariusza, miał do niej jakiś numer, ale okazało się, że na przestrzeni lat najwidoczniej go zmieniła.

Papuga dała o sobie znać. Spojrzył na nią, a potem podszedł i wziął klatkę ze sobą do kuchni. Otworzył jedną z szafek i wyciągnął z niej schowaną butelkę wódki, którą jego przyjaciel zawsze miał na czarną godzinę. Wiele tych czarnych godzin razem przepili. Wyciągnął kieliszek, usiadł na taborecie przy stoliku, otworzył butelkę i nałał. Napił się. Potem wstał i otworzył na całą szerokość okno. Następnie to samo zrobił z maleńkimi drzwiczkami. Ptak długo gapił się na niego zaskoczony. Kręcił głową, przebiegał nóżkami, poruszał kolorowymi skrzydłami.

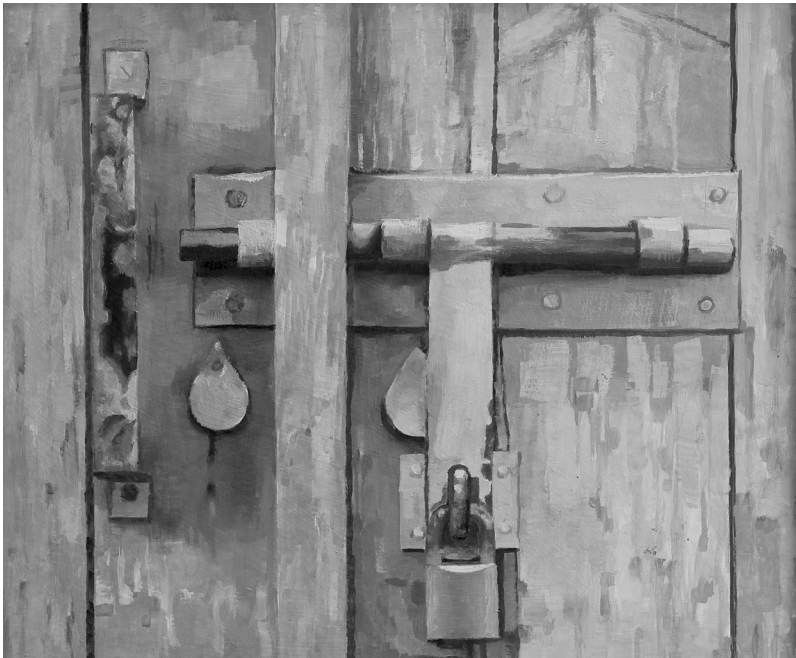
Zrozumienie sytuacji, w której się znalazł, wykraczało poza jego ptasi mózdzek. W końcu wyfrunął z klatki, zrobił kilka kótek przy suficie i usiadł na parapecie.

– Możesz lecieć – powiedział do papugi. – To koniec. Jesteś wolna.

Ptaka spoglądał na niego, potem wyglądał z zaciekawieniem na szeroki świat stojący przed nim otworem. Długo się zastanawiał, sprawiając wrażenie podnieconego i przerażonego jednocześnie. Zupełnie jak człowiek wychodzący z więzienia. W końcu zrobił krok i drugi i rozłożył skrzydła. Podjął decyzję. Odleciał.

On natomiast poszedł do sypialni i usiadł na skraju łóżka. Przyjaciela wciąż leżał martwy, nic się w tej kwestii nie zmieniło. Wypił więc za jego pamięć. Całą butelkę. Czekał.

MARCIN MIELCAREK: pisarz, poeta, twórca internetowy. Pochodzi z Kalisza, ale od kilku lat mieszka i tworzy w Zielonej Górze. Debiutował w 2019 roku zbiorem opowiadań *Wszystkie nasze Boginie-Matki*. W 2022 roku ukazała się jego powieść *Sztuka latania*, która została nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. W tamtym roku ukazała się jego kolejna powieść *Skoczek*, za którą Lubuski Wawrzyn Literacki otrzymał. Drukował m.in. w „Twórczości”, „Pro Libris”, „Akancie” i „Migotaniach”. Od 2024 roku prowadzi na YouTube kanał „Strachoteka”, gdzie publikuje creepypasty.



DO SMAKU

Halinka Bohuta-Stąpel

*

Dosyć ostro kobitka (wieś Złogi)
przyprawiła dziś sobie pierogi
i na ostro dla dzieci
przyprawiła omlecek,
a mężowi kotleta. I rogi.

*

W zazdrość wpadł smakosz ciasta z Pakości –
sąsiadowi małżonki zazdrości,
gdyż mu własna niewiasta
z mąk i jaj piecze ciasta,
a małżonka sąsiada – ze złości.

*

Grzmi z ambony ksiądz z Pcimia Dolnego:
– To przez wegan jest w bród zła wszelkiego!
Z raję Adam i Ewa
wylecieli, gdyż z drzewa
owoc zjedli, a nie schabowego!

*

Pewien łasuch gdzieś tam spod Mosiny
zdobył rękę, jak sądził, dziewczyny,
która nieźle gotuje.
Dzisiaj tego żałuje –
– to mistrzyni kuchennej łaciny.

*

Na spowiedzi grubasek z Wrocławia
łta: – Mym kosztem się żona zabawia...
– Zdradza cię twa kobita? –
z troską kapłan go pyta.
– Skąd! Z kochankiem menu mi ustawia!

HALINKA BOHUTA-STĄPEL: urodziła się w Poznaniu, ale od ponad 40 lat mieszka na ziemi lubuskiej (Zielona Góra/Wilkanowo). Debiutowała w latach 70. we Wrocławiu na łamach prasy miejskiej i studenckiej. Jest autorką kilku tomików zawierających lirykę osobistą, kilku scenariuszy teatralnych i jednego filmowego, legend lubuskich, piosenek kabaretowych (płyta *Kameralnie, Funeralnie*, 2017, tekst i muzyka), w 2024 roku wydała zbiór humoresek *Bar Pod Błękitnym Aniołem* (proza, limeryki/altruitki/skecze). Współtworzy Literacki Kabaret HALLO, należy do ZLP o. Zielona Góra, aktualnie sprawuje funkcję wiceprezesa.

BUMERANG

Jacek Lauda

Rzuciłam go. Tak, znowu. Ale pewnie znowu przylezie. Mówię ci, nudziarz okropny. Za pierwszym razem wrócił po tygodniu. Stał nagle w drzwiach, jakiś taki biedny, patrzył jak zbity pies, a ja akurat sama byłam, to go wpuściłam, i został. Na początku, przez jakieś trzy dni, może dwa, było fajnie. Kwiaty przynosił... Raz przyniósł. Potem już tylko gapił się w telewizor. Żeby chociaż piłkę nożną oglądał, jak normalny facet, a on tenis. Jaki normalny facet ogląda tenis? Sama powiedz. Tymi paletkami tak machają, porażka jakaś.

Wywaliłam go na zbity pysk.

Po tygodniu wrócił, z kwiatami, to go przyjąłam, bo głupio jakoś tak nie wpuścić, kiedy z kwiatami. Myślałam: kawę wypije i se pójdzie, ale został, nawet się miło gadało. Ja gadałam, ale on ładnie słuchał. Chyba.

Został tydzień, potem go wywaliłam. Na zbity...

Tak, dobrze się domyślasz, za tydzień znowu stał w drzwiach. Myślałam, że to kurier, czekałam na kuriera, zamówiłam ten zestaw do paznokci... Czekaj, pokażę ci. Albo potem, tylko ci dokończę. Bo wiesz, jakie mam dobre serce. Wpuściłam dziada. Nie był taki zły, nie szlajał się nigdzie, mało pił, palić wychodził na balkon. Ale się nie dało. Znowu to samo. Rzuciłam ostatecznie.

No tak, wrócił. No wpuściłam, a ty byś nie wpuściła? Tak, po tygodniu, na zbity pysk.

Pewnie wróci, bo ja już wiem, skąd to się wszystko bierze. Bo widzisz, oglądałam taki program, o Austrii. Nie, czekaj, o Australii. Oni tam mają takie zakrzywione kije. O właśnie, bumeranty... Bumerangi. Jak rzucisz taki bumerang, to on wróci. Ten mój to jest bumerang! Dlatego wraca. Leci tak tydzień, znika, zrobi łuk i wróci. On to ma w genach, kochana. Podobno jego dziadek urodził się w Australii, to mógł się tym genem zarazić. I stąd to wszystko.

Ktoś puka do drzwi, otworzę, może to on.

JACEK LAUDA: pisarz, malarz, pracownik wydawnictwa Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie. Zadebiutował humoreskami i ilustracjami w 2002 roku w „Arsenale Gorzowskim”. Wydał trzy książki: *Mól* (2002), *Drabina, czyli wejście nieprawomyślne* (2003) oraz *Eskimos w operze, opowiadania na orkiestrę, chór i kanarka* (2013). Specjalizuje się w malarstwie olejnym, rysuje też pastelami i piórkiem. Miał kilka wystaw indywidualnych.

ŚNIADANIE WIOŚLARZY (CZYLI PORANEK NAD JEZIOREM)

Dorota Wabno

Do domku nad jeziorem Łagowskim przyjechaliśmy pierwszego dnia sierpnia, wczesnym popołudniem. Każde z nas postanowiło relaksować się na swój sposób: ja wybrałam wylegiwanie się na leżaku i czytanie książek, natomiast mój mąż rozpoczął obchód pozostałych domków w poszukiwaniu kompanów do biesiadowania przy ognisku. Chętni pojawili się gromadnie i to bynajmniej z pustymi rękami. Myślę, że właściciel lokalnego sklepiku z radości zacierał dłonie, sprzedając ponadstandardowe ilości różnych trunków. Zastanawiałam się, jak taki obrót spraw przełoży się na samopoczucie męża nazajutrz... Gdy raniem pojawiłam się na tarasie, już tam był. Siedział na leżaku z półprzymkniętymi oczami i nad czymś dumał.

– Cześć, kochanie – rzuciłam pogodnie na powitanie i usadowiłam się wygodnie na krześle. Dzień zapowiadał się wspaniale, a przede mną roztaczał się sentymentalny widoczek na jezioro. Zza wysokich szuwarów dostrzegłam żaglówkę i kilka łódek. – Świetna pogoda. Mieliśmy dziś popływać łódką, pamiętasz? – Skierowałam wzrok na pobliskie zarośla, gdzie zacumowana była nasza wystuzona łajba, a potem na męża. Wydawał się jakiś nieswój.

– Ach, tak? No nie wiem, czy akurat dziś – powiedział cicho i uciekł wzrokiem.

– Oczywiście, że dziś. Tak się umawialiśmy. Na kolejne dni mamy już inne plany – odpartam nieco poirytowana.

– Dzisiaj to nie za bardzo – zaczął wyraźnie kluczyć. Powód był dla mnie oczywisty.

– Ile wczoraj wypitesz?

– Co?

– Głuchy jesteś, ile wypitesz? – powtórzyłam zdenerwowana.

– Oj tam, oj tam... Kilka piwek, nie ma co się nakręcać – próbował bagatelizować.

– Kilka piwek. Czyli ile? Trzy, a może osiem?

– No tak z... sześć – oszacował z grubszą.

– Świetnie, a więc jesteś na kacu. Rozumiem, że pływanie łódką nie jest dla ciebie w tej chwili priorytetem – drwiłam z niego.

– Nie jest – odpart i potwierdził to pierwszym epizodem pijackiej czkawki.

– Rozumiem, że twoje myśli ogniskują się raczej wokół jakiegoś klina.

Nie potwierdził i nie zaprzeczył, lecz w milczeniu przyglądał się swoim dłoniom. Nawet nie miałam się denerwować. Z rezygnacją machnęłam ręką.

– Z tobą zawsze tak jest. Nie można niczego planować – skwitowałam. – Może zająłbyś się w takim razie jakimś śniadaniem? – rzuciłam zrezygnowana.



Rys. Dorota Wabno

- Dobrze – odpart z nagłym btykiem w oku. – To będzie śniadanie wioślarzy – uzupełnił tajemniczo.
- Śniadanie wioślarzy? – zdębiałam.
- Tak, pływania łódką nie będzie, ale będzie za to śniadanie wioślarzy.
- Brzmi dość zachęcająco – stwierdziłam, zbita nieco z tropu i zaczęłam bardziej przyglądać się mężowi. Wydawało mi się, że na jego skacowanej twarzą błąka się lekki uśmiezek.
- Ok. To czekam – odpartam już nieco udobruchana. Gdy zniknął w głębi domu, uświadomiłam sobie, jak bardzo byłam głodna. – Wioślarze to pewnie musieli dobrze zjeść. Wiostowanie jest bardzo wyczerpującą czynnością – pomyślałam,

wyobrażając sobie, jak mój mężulek smaży pyszną jajecznicę z boczkiem i szczypiorkiem – albo nie... lepiej z kurkami (na przywitanie dostaliśmy całą tubiankę od sąsiadów). Jeśli to nie będzie jajecznica, to może przyrządzi smakowite omeletki – takie na słodko z serkiem ricotta, jagodami i syropem klonowym. Mmm... niebo w gębie, ale mogą być też na stono. Czemu nie? Na przykład z szyneczką i warzywami. Nie pogardziłabym też kanapeczkami w stylu baskijskich pinchos. Jedliśmy takie niedawno w trakcie pobytu w Bilbao i obiecaliśmy sobie odtworzenie ich smaków po powrocie do Polski. W lodówce mamy sporo składników, a więc może zaszaleć. – Tak rozmarzona oczekiwałam efektów jego kulinarnych działań. Jak wielkie było jednak moje zdziwienie, gdy zamiast uwijać się w kuchni, szybko wrócił na taras, dzierżąc w dłoniach dwie butelki wina: białego oraz czerwonego.

– Już niosę kieliszki – zakomunikował i znów zniknął za drzwiami.

To, że nie byłam zadowolona, to mało powiedziane. Byłam wściekła. Po co ten alkohol? Wystarczy przecież śniadanie.

Gdy wytonił się z dwoma kieliszkami i postawił je na stole, nie wytrzymałam.

– Wino jest zbędne. Najpierw zjemy, a potem napijemy się kawy.

– Ale to już wszystko. To jest właśnie śniadanie wioślarzy – powiedziała, wyraźnie z siebie zadowolony. Odkorkował jedną z butelek i nalał fachowo po 3/5 pojemności kieliszków.

– Co to za kpiny? – wycodziłam przez zęby. Nie miałam ochoty na żarty.

– Tak się interesujesz malarstwem, a obrazu „Śniadanie wioślarzy” nie znasz? – zapytał zaczepnie z ironicznym uśmieszkiem na twarzy.

– Oczywiście, że znam. Namalował go Auguste Renoir – odpowiedziałam zbita nieco z tropu.

– No to przyjrzyj się mu dokładnie.

Zła jak osa wystrzeliłam do salonu, gdzie na stoliku leżał album z malarstwem francuskich impresjonistów. Szybko odnalazłam reprodukcję słynnego dzieła. Na stole, oprócz kiści winogrona oraz jednej ostrygi, stały same butelki wina i kieliszki...

DOROTA WABNO: germanistka, absolwentka zielonogórskiej WSP, tłumaczka poezji i tłumaczka filmów. Pracuje jako nauczycielka w VII LO Mistrzostwa Sportowego w Zielonej Górze.

Dotychczasowe publikacje książkowe: Rainer Maria Rilke *Dusza* – wybór wierszy i przekład Dorota Wabno (2021), Halina Bohuta-Stapel *Słownik rytmów męskich* (2024). Publikowała też w „Pasjach literackich” i na portalu pisarze.pl.

ŚMIERCIONOŚNY AWANS

Ryszard Jasiński

Dowódcą był starszy nadkapitan w randze młodszego popodpułkownika. Nie lubił, gdy go lubiono. Kiedy stwierdził, oczywista, zanim zauważył, że przez kogoś, ewentualnie przez coś jest lubiany, wpadał w amok. Wówczas biada temu, kto się napatoczył.

Od rana miałem pod górkę, chociaż gdy zasypiałem, było na odwrót, z górki, a nawet świeżo oblodzonej góry czterospadowej (jest opodal jeziora naprzeciw jaru). Na nadkapitana nawinałem się, pełniąc służbę wartowniczą za magazynem haubic bezlufowych. Odsypiał noc w szoferce łazika. Nie zasnął do trzeciej nad ranem, ponieważ wpatrywał się w pornograficzne pisemko. Akurat wyrwał się z drzemki, kiedy przekładałem karabin, bo mnie swędziało pod pagonem.

– Do raportu natychmiast stawić się niezwłocznie – wypalił, otrzepawszy kaburę z siana także chowając pornos do aktówki na tajne dokumenty wojskowe. – Muszę kogoś zdegradować, żona przypaliła herbatę. Ma smak kiszonych buraków ćwiekowych.

– Żona tak smakuje?

– Ćwieki buraczane.

Ani ja, ani zawezwany przedporucznik sztabowy nie wiedzieliśmy, jaki był związek smaku żony herbacianej z degradacją. Domyślaliśmy się, że negatywnie i fatalnie oddziaływał na morale. Przedporucznik miał posturę rozgarniętego psa gończego, zmierzył mnie lewym okiem, które było bardziej głębokie od prawego oka. Buńczucznie orzekł głosem lekko zawadiackim, że nie można mnie zdegradować, albowiem nie miałem żadnej belki.

Nadkapitan zasapał, ale zaraz nie zamyślił się, nagle znowu wypalił:

– Wiem, że wiem. Muszę kogoś zdegradować.

Przedporucznik gorzej niż lepiej znał procesy, które zachodziły w umysłach hierarchów wojskowych. Charakteryzował je przyrost pesymizmu w miarę ubywania optymizmu. W takich warunkach żywot żołnierzy zawisł od kucharza, który stracił smak, dlatego konsumował więcej ziemniaków niż mógł obrać. Narastał konflikt między jadtospisem a tym, co rzeczywiście kładł do żołnierskich mich.

Zagotowawszy się z zasadnej troski o bitność i bojową zdalność baonu, przedporucznik regulaminowo potrząsnął czupryną, zameldował:

– Obywatelu nadkapitanie, można by zdegradować wojaka, lecz pod warunkiem uprzedniego awansowania.

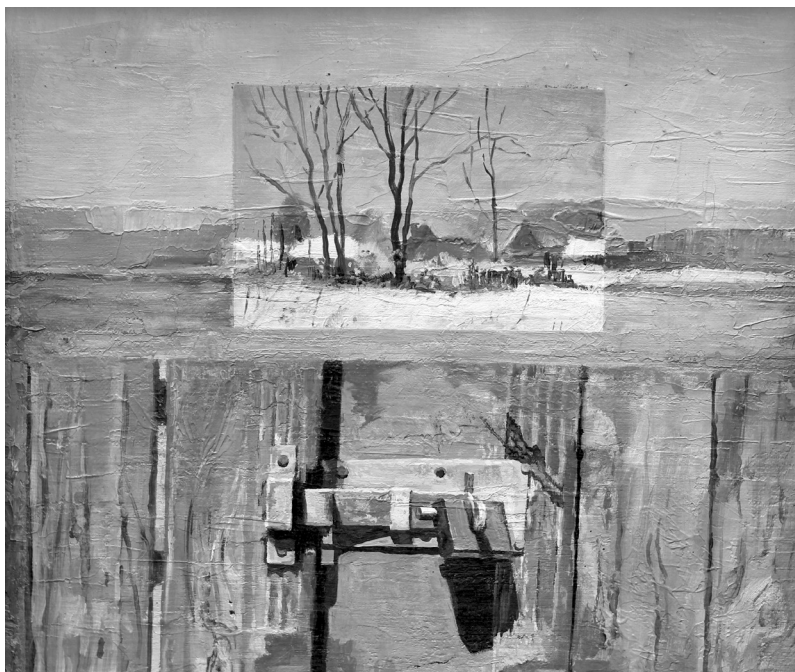
– Przecież słabo wiem – zastanawiał się nadkapitan – pospólstwo zdecydowanie nie powinno służyć w armii. Awansować na młodszego szeregowca, a potem odciąć belkę, następnie wystać na pole minowe. Jeśli przeżyje, aresztować i przez pół roku nie wydawać przepustki. Niech obejdzie się smakiem.

– Rozkaz! – zasalutował przedporucznik i salwował się do oficera dyżurnego.

Irracjonalizm przesłanki, nielogiczna decyzja nadkapitana mogły rozstrzygnąć o tym, czy przeżyje tego mżystego dnia. Przyszyłem belkę do pagonu, zaraz przedporucznik odprut ją żyłką. Natychmiast poczołgałem się na zaminowany zagon.

Kierując się chłopskim pragmatyzmem (moi przodkowie należeli do wtańście-la wsi), wczoraj tak rozstawiłem miny, aby udawały smakowite kępkę dziurawca.

RYSZARD JASIŃSKI: rzeźbiarz, literat, nauczyciel. W 2021 LWP wydało jego dwie powieści: *Niewidzialną władzę*, która zdobyła I miejsce w konkursie na powieść współczesną (Gdańsk 2003), oraz *Wrota Gomory* (powieść eksperymentalną). Wydał też kilka zbiorów opowiadań, m.in.: *Król błot* (2023), *Dziewczyna, która zgubiła imię* (2023), *Paradygmaty* (2024) i *Koszyk z piór* (2024). Mieszka i tworzy w Tuplicach.



O KSIĄŻKACH, ARTYSTACH I SUSZONYCH POMIDORACH

Hanna Ciepiela

Rozmowa z **ADAMEM STACHOWIAKIEM**, niekonwencjonalnym kucharzem, byłym barmanem z Klubu Myśli Twórczej Lamus

Jak zaczęła się twoja przygoda z gorzowską kulturą?

Zaczęła się pod koniec lat 90. od telefonu pani Haliny Katulskiej, ówczesnej kierowniczkii Lamusa. Znała mnie z Karczmy Słupskiej, w której przez długie lata pracowałem. Opowiedziała mi trochę o klubie, i że „przychodzi tam znany poeta Kazimierz Furman i trzeba byłoby mu podać ciepłą zupę”. Zgodziłem się, przyjąłem pracę, ale początkowo rzadko bywałem w klubie, zatrudniałem pracowników, zajmowałem się zaopatrzeniem.

Ale poznałeś Kazimierza Furmana?

Poznałem, polubiłem. Ale zupy nie chciał jeść, wołał piwo.

Potem spotkałeś kolejnych gorzowskich artystów...

Od 1997 roku już codziennie, do wieczora, pracowałem w Lamusie. Zaczęli do nas przychodzić gorzowscy aktorzy po zakończonych próbach. Po kilku tygodniach klub zaczął tętnić życiem. Z tych pierwszych wieczorów szczególnie pamiętam Anię Łaniewską i Alika Maciejewskiego, potem poznałem też Krzysia Tuchalskiego.

Co artyści jadali w Lamusie?

Śledzie, tatar. Fajne w klubie było to, że ludzie nie zamawiali konkretnych dań, tylko prosili, aby zrobić im „coś do jedzenia”. I robiłem to, co miałem, bawiłem się kuchnią. Rano chodziłem na Hawelańską, na stragany. Kupowałem świeże warzywa, wymyślałem potrawy.

Pamiętam też, że wprowadziłeś do swojej kuchni pomidory suszone. To było coś innego, nowego.

Przeczytałem w gazecie artykuł o „suszonych pomidorach, pełnych słońca”. Postanowiłem je zdobyć, ale w Gorzowie nikt o nich nie słyszał. Dzwoniłem do

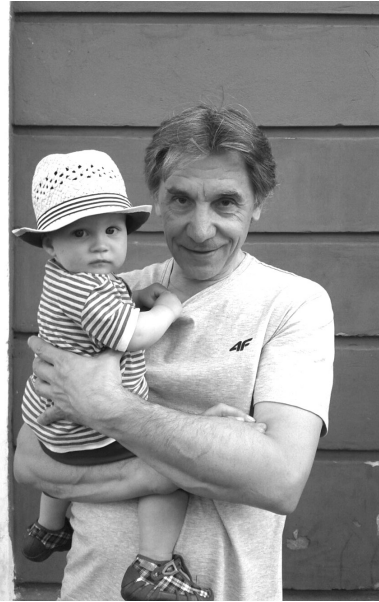


Foto: archiwum domowe Adama Stachowiaka

miast portowych i też nic. W końcu udało mi się je znaleźć w warszawskich delikatesach. Był jednak problem z ich przywiezieniem. Musiałem dzwonić do Warszawy po taksówkę, która odbierze je ze sklepu. W końcu zamówienie dotarło. I choć przepłaciłem, było warto!

Jak wyglądał typowy dzień w Lamusie?

To były takie trzy fazy. Rano przychodził Kazimierz Furman, potem urzędnicy na zupeł. Przychodzili też radni i różni politycy po zakończonych sesjach. Wszyscy zgodnie jedli, pili kawę, rozmawiali. Potem, około trzynastej pojawiali się Hirek Świerczyński, Mieczysław Rzeszewski i Piotr Steblin-Kamiński. Czasem dołączali do nich Michał Puklicz.

Którego z nich najmilej wspominasz?

Hirek był bardzo sympatyczny, barwny. Miał poczucie humoru, sypał anegdotami. Wszystkich łączył, godził. Potrafił kłótnię obrócić w żart.

Pamiętasz jakieś anegdoty Hirka?

Kiedyś opowiadał o gorzowskim moście żelaznym, że jest tak trochę postawiony po skosie. Wszystko dlatego, że po wojnie była debata i zastanawiali się, jak wybudować most, „w poprzek czy wzdłuż?”. I poszli na kompromis.

W Lamusie bywały również znane gorzowskie artystki.

Zofia Bilińska, Ania Makowska-Cieleń. I jak przychodził o czternastej Leszek Bończuk, to siadał do pianina, a pani Ania śpiewała. Fajnie się bawili.

Jakieś gwiazdy z Polski, po spektaklach, koncertach też się pojawiały?

Pewnie tak, ale nie wszystkich rozpoznałem. Kiedyś nad ranem koło trzeciej przyszło dwóch panów. Jeden podszedł do pianina i zagrał etiudę „Rewolucyjną” Chopina. Tak grał, że Lamus uniósł się w powietrze. Do dziś to pamiętam. A wtedy w naszej gorzowskiej szkole muzycznej był konkurs i w jury zasiadał jeden z laureatów międzynarodowego konkursu chopinowskiego. To właśnie on tak niesamowicie zagrał. Była też inna fajna historia z naszym Alikiem. On pokazał w Lamusie świetny monodram „Obłok w spodniach” według poematu Włodzimierza Majakowskiego. To był dzień powszedni, godzina osiemnasta. Wszedł jakiś gość, zapytał, czy może zostać, zamówił piwo. Tymczasem Alik grał spektakl i robił to fantastycznie. Jak tylko rozpoczął, odezwał się tym swoim niesamowitym głosem, wszyscy ucichli. Wcześniej ustaliłem z Alikiem, że podczas monodramu, w wyznaczonym czasie podam widzom wódkę w kieliszkach. Ale ludzie byli tak zaszuchani i wpatrzeni, że musiałem ich potrącić i wybudzić. Skończył się monodram. Brawa. Ten gość od piwa podszedł do mnie i zapytał, czy może coś zagrać na pianinie. Zagrał Rachmaninowa. To był niesamowity koncert. Potem przy barze podszedł do niego Leszek Lis i zapytał „A ty się nazywasz Bartóg?”, bo Leszek go rozpoznał, mieszkali w dzieciństwie w sąsiednich blokach. Ten pianista wyjechał do Niemiec i wynajmował się na koncerty w wielkich salach.

W 2006 roku zrobicieś w Lamusie nietypowe spotkanie z reżyserem Ryszardem Majorem, byłym dyrektorem gorzowskiego teatru. Opowiadał o swoich ulubionych książkach. Skąd pomysł?

Kiedyś przypadkiem w Lamusie usłyszałem rozmowę pana Andrzeja Dańskiego, dawnego dyrektora Wojewódzkiego Domu Kultury z dziennikarzem. Mówił o tym, jak ważna w jego życiu była powieść *Piękne dzielnice* Louisa Aragona. Zaciekawiła mnie ta książka, kupiłem, przeczytałem. I po latach pomyślałem, że można bytoby stworzyć w Lamusie bibliotekę książek ważnych dla znanych gorzowian. Porozmawiałem o tym z Alikiem, spodobał mu się pomysł, obiecał, że pomoże mi zaprosić Ryszarda Majora. Spotkanie odbyło się w kwietniu pod hasłem „Piękne dzielnice”. Trochę się baliśmy z Alikiem, że to będzie „piękna katastrofa jak Titanic”, bo Ryszard Major był człowiekiem małymównym. A udało się świetnie. Major bardzo pięknie opowiedział o swoich trzech ważnych książkach. Były to: *Elementarz* Mariana Falckiego, na podstawie którego zrobił spektakl w Teatrze Polskim w Szczecinie, *Don Kichot* Cervantesa i *Dramaty* Witolda Gombrowicza. Spotkanie trwało półtorej godziny. Planowałem kolejne. Ale z przyczyn ekonomicznych, bo bieda była wtedy straszna, nawet na zusy dla pracowników brakowało, musiałem wyjechać do Anglii.

A jakie są twoje ważne książki?

Na pewno *Don Kichot*, prowadziłem nawet przez jakiś czas restaurację „La Mancha” w Panoramie i w menu, na okładkach, były cytaty z *Don Kichota*. Ważna też była *Zbrodnia i kara*, no i *Nędznicy*, bo ja jestem taki hipis socjalista. [śmiech]

Teraz zawodowo zajmujesz się cateringiem. Wiem jednak, że chcesz powrócić do pomysłu z książkami.

Mam lokal przy Grobli 3, w pobliżu dawnej pracowni plastycznej Michała Puklicza. I chciałbym w przyszłości robić takie spotkania. Aby ktoś przyszedł, opowiedział o swoich trzech książkach, podpisał je i postawił na półce. Na razie to tylko pomysł. Klub jeszcze nie ma nazwy. Ale powoli zaprzyjaźniam znajomych z tym miejscem, robimy sobie co dwa miesiące obiady czwartkowe, składkowe. Gotuję i jest fajny klimat. Może coś się jeszcze urodzi...

I tego ci życzę, dziękuję za rozmowę.

HANNA CIEPIELA: dziennikarka, bibliotekarka, autorka książek. W l. 1991-2003 związana z „Gazetą Lubuską”, od 2003 r. nauczycielka i bibliotekarka w Bibliotece Pedagogicznej Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Gorzowie. Autorka albumów: *Strebejko* (2008) i *Kowalski* (2016), wydanych w cyklu Kolekcja 750-lecia; książki *Zaraz wracam* (2008) o bohaterach gorzowskiej Alei Gwiazd; monografii *40 lat Zespołu Tańca Ludowego Mali Gorzowiaci* (2021) i książki *Galeria Lubuskich Pedagogów* (2021). Od kilku lat pisze opowiadania.

GORZÓW! ACH, TO TY!

Andrzej Matuszewski

21 marca w zabytkowej części gorzowskiej Książnicy odbyła się druga edycja konkursu poetyckiego „Wiosenne wierszowanie”, którego mottem stało się hasło „Gorzów wczoraj i dziś”.

Slam poetycki poprowadzony został przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk, prezeskę gorzowskiego Związku Literatów Polskich, oraz dyrektora Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim Sławomira Szenwalda.

Uczestnicy zaprezentowali swoje wiersze, które opiewały naszą małą ojczyznę zanurzoną w zieloność wiosennych barw tętniącego życiem miasta.

Prezentowana poezja inspirowana była zarówno dawnym, już poniekąd zapomnianym, jak i współczesnym Gorzowem.

W wydarzeniu wzięt również udział Marek Piechocki, który umilił je swoją grą na pianinie.

Zebrani w tajnym głosowaniu wybrali laureatów konkursu i uhonorowali następujące osoby:

I miejsce – Aneta Długotęcka

II miejsce – Aneta Gizińska-Hwozdyk

III miejsce – Marek Z. Piechocki



Foto: Andrzej Matuszewski

Aneta Długołęcka

ulubione

jest takie miejsce
w Gorzowie
rodzinnie odwiedzane
gdzie można sprawdzić
stan panoramy
w słońcu iskrzy się
nowy czepiec katedry
pożłocane liczby
na czarnej tarczy
nie poganiają już
do pracy domu dzieci
postarzałe kamienice
odziedziczone po Landsbergu
i nowsze klocki
walczą o miejsce
pomiędzy uliczkami
choć mieszkańców
coraz mniej

03.2025



Foto: Andrzej Matuszewski

Aneta Gizińska-Hwozdyk

Dobre widoki

Dobre widoki na miasto
biegnące schodami donikąd,
sunące w przyszłość wagonami tramwajów,
płynące wartko Wartą,
okiem opatrności siedmiu wzgórz
chroniące zabytkowe mury
i mury katedry
stojące murem
za murowanym centrum.

Widoki rozjaśniają się nocą
wśród snów o potędze
i wspomnień.

Ostatni tramwaj
wyptywa w rejs
labiryntami ulic.

Gwiazdy zapadają w rzekę
jak w sen.
Maria z fontanny
liczy je skwapliwie
i dekoruje
centrum miasta,
by miało widoki...

21.03.2025 r.



Foto: Andrzeja Matuszewski

Na pokładzie tramwaju

Donikąd i Wartek
wyptywają w rejs
miejskim tramwajem z duchem,
który łączy brzegi.

Jeden ma widoki.
Drugi głębię.
Wyżej, szerzej, mądrzej
dosięgają miasta.

Marię zapraszają
do wspólnej podróży.
Wartek chce przemycić
jedną miejską rybę – wmawia jej, że złota.

Donikąd w wiadra Marii
pakuje marzenia
o tym, że już nie do – nikąd,
choćby dokądkolwiek.

Na królewskim trakcie
mielizna deptaku
zatrzymuje tramwaj –
nie pozwala płynąć.

Ze studni czarownica
szybuje z odsieczą
i miotłą czaruje
betonowy chodnik, by nabrał kolorów.

Zabytkowy tramwaj
rusza z posad świata –
pomóc współczesności
wyptynąć na głębię.

Donikąd przyrymka oko
na wieczność remontów
woli nie dostrzegać
niż widzieć za dużo.

Wartek mówi, że warto
jest tak płynąć z Wartą,
choć chciałby do morza,
a to za daleko.

Maria wysiada w centrum ze wspólnego rejsu.
Równowazy marzenia obu w stągwiach wiader.
Wartek idzie z Kłodawką na randkę przy moście,
A Donikąd wyrusza na spotkanie celu.

21.03.2025 r.

Z. Marek Piechocki

Od lat słucham pulsu tego miasta

Przyspieszony w centrum
zwalnia dopiero
w bocznych uliczkach Zawarcia

Dźwigi które pamiętam nad rzeką
dawno przetopione w hutach

Łódka pana Zacharka
zabetonowana w bruku bulwaru

Gdzie kiedyś Wenecja
– kawiarnia z parkietem do tańca
w której poznawaliśmy nasze żony
teraz parking

Czasem zatrzymuję się nad wodospadem
który Kłodawkę chowa pod jezdnię ulicy Sikorskiego
– szum wody zagłusza zgiełk
a ja wspominam Andrzeja Pawlukowca
i jak grał na saksofonie tanga przytulanga

Można było poczuć jędrność piersi wybranki

Teraz Andrzej gra aniołom
a Wenecję mam na starej pocztówce
i wspomnieniach

Foto: Andrzej Matuszewski



OD CZARNEJ PLAMY DO KOLOROWEGO ZACHWYTU

Weronika Kurjanowicz

Z nazwiskiem Aneta Gizińska-Hwozdyk zetknęłam się, można powiedzieć, bardzo dawno – kiedy trafiło do moich rąk jej opowiadanie pt. *Buty*. Nadesłane na konkurs, w którym miałam głos decydujący, organizowany przez Towarzystwo Brata Alberta. Nie miałam wątpliwości, że ten tekst należy uznać za najlepszy, byłam nim po prostu oczarowana. Opowiadanie było proste, zrozumiałe, zwyczajne, a jednak zmuszało do głębszych i poważniejszych rozważań. I taka ocena twórczości tej autorki pozostała w mojej pamięci przez wiele następnych lat. Dlatego też każdą nową jej wypowiedź czytam z wielką uwagą i przyjemnością. Tak też się stało z opowiadaniem *Czarna plama* zamieszczonym w „Pegazie Lubuskim” nr 4 (99) 2024.

Przystępując do charakterystyki tekstu, na pierwszy plan wysuwam język, którym posłużyła się autorka. Korzysta ona ze słów ogólnie zrozumiałych, prostych, prawie potocznych, a równocześnie doskonale obrazujących to, co opisuje, starannie dobranych i w sumie składających się na odtworzenie klimatu zdarzeń. Ów język porusza wyobraźnię odbiorcy, a więc i może uruchomić jego myślenie. Zaczyna się od opisu mrocznego, jak zdaniem autorki odbiera swoje otoczenie potencjalny czytelnik:

Zbiegasz schodami. Potykasz się o stosy petów rzuconych pod otwartymi paszczami pocztowych skrzynek, którym ktoś dla zabawy powyrywał zamki. (...) Przebrzydły kot sąsiadki z parteru znów rozwalil się na progu. Otwierasz wejściowe drzwi. Głośno, z hukiem, aby go sptoszyć. (...) Przemierzasz podwórko. W bramie na rogu dwóch chłopaków z nosami wsadzonymi do plastikowych, wymiętych i brudnych woreczków wacha klej... Dwanaście lat – tak kwitujesz ich wiek.

Jest to charakterystyczny sposób opowiadania o świecie, kiedy autor zwraca się do odbiorcy wprost i w pewnym stopniu narzuca mu swój sposób postrzegania rzeczywistości. Jest to sposób niestety częsty wśród rozczarowanych, niezadowolonych, malkontentów... Częsty, ale czy rozsądny? Opisy takie są prawie naturalistyczne, dokładne, wzięte z realu.

Zwróćmy uwagę, że autorka nawiązuje bezpośrednią więź z czytelnikiem, zwraca się do niego wprost – jak ktoś bliski. Stworzone opisy są odpychające, niemiłe, smutne, pesymistyczne. Gdyż tak skutkuje bezradność i bezczynność. Wędrując dalej, bohater staje się niewolnikiem cywilizacji stworzonej przez siebie: „Musisz w jednej chwili stać się czujny jak zaszczute zwierzę. Tak warczy, sapie, wrzeszczy, kottuje się i przewala – ulica”.

I tak dochodzimy razem z narratorem do wniosku, że trzeba znaleźć jakieś światło przeciw ciemności. Pada stwierdzenie: „Wiesz już, na czym polega twój błąd? Gdy rozlałeś niebo, nie stworzyłeś sobie tęczy. Każdy powinien dysponować prywatną tęczą”.

W ten sposób Hwozdyk wchodzi w świat symboli. Tęcza jest do dziś często przywoływanym symbolem; do niedawna znaczyła coś pozytywnego. Widok fizycznej, autentycznej tęczy zawsze budził w nas dobre uczucia i radość... Powstaje pytanie, dlaczego symboliczna treść tego zjawiska tak natrętnie, szybko, zawzięcie w mowie innych odbiega od znaczenia pierwotnego i przestrasza nasze myślenie.

Na rozwinięcie zastępuje szersze omówienie języka pisarki. Była już mowa, że jest on prosty, zwyczajny, zrozumiały. Pisząca nie daje się zwieść modzie tworzenia na każdym kroku neologizmów, kalek i hybryd obcojęzycznych. Te bowiem prowadzą do odwracania znaczeń i pod pozorem naukowości powstają dziwolągi typu: *ma szansę zachorować na grypę*. Nie wprowadza również tak modnych wtrętów w rodzaju: *dla jasności, mówiąc kolokwialnie* i podobnych.

Wczytując się w tekst, odnajdujemy ukryte w nim głębsze sensory. Zaryzykuję stwierdzenie, iż prowadzi on do rozważań na temat postrzegania przez człowieka otaczającego świata. W rzeczywistości jest on bowiem takim, jakim go widzimy. I dlatego pesymiści widzą go w samych negatywach, jako „czarną plamę”. Świat jest piękny dla tych, którzy umieją to piękno odkrywać.

W sumie tego rodzaju twórczość oceniam pozytywnie, może nawet widziałabym jej zastosowanie wśród lektur szkolnych. Pozostaje mi tylko podziękować pani Anecie za to, że chce pisać i pisze. Tak pisze.

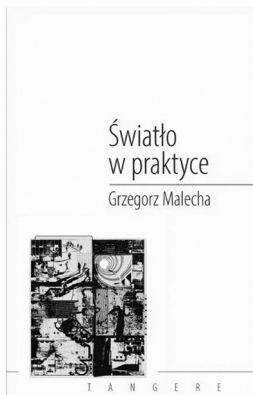
Refleksje zapisała Helena Tobiasz.

WERONIKA KURJANOWICZ: urodzona w Grodnie. W Gorzowie od września 1945 roku. Wykształcenie: filologia polska na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu. Przez wiele lat uczyła języka polskiego w Zespole Szkół Ekonomicznych. Autorka licznych publikacji, m.in. samouczków ortograficznych oraz interpunkcyjnych dla dyslektyków. Współpracowała z „Nadwarciańskim Rocznikiem Historyczno-Archiwalnym”, w którym była korektorem, a także z lokalnym radiem, w którym prowadziła audycję „Ugryź się w język”.

CODZIENNOŚĆ W TRYBIE MANUALNYM.

O KSIĄŻCE GRZEGORZA MALECHY ŚWIATŁO W PRAKTYCE

Anna Dominiak



Już sam tytuł tomiku – Światło w praktyce – stwarza pozór konkretny. Brzmi jak rozdział z podręcznika fotografii albo coś w rodzaju instrukcji obsługi – zapowiedź czegoś, co da się zastosować w codziennym doświadczeniu. Ale w tej książce światło służy czemuś zupełnie innemu. Zamiast jasności dostajemy migotliwe refleksy, światło, które nie dociera do końca pokoju, przebłyta snu i pamięci. Do tego dochodzi okładka, przypominająca pocięte i złożone razem negatywy – obraz jest rozszczępiony, czarno-biały, pozbawiony ostrości. Tym bardziej wybrzmiewa skojarzenie z modelem aparatu praktyca, który mógł kiedyś leżeć na stole w kuchni – nie jako artystyczne narzędzie, ale jako przedmiot codziennego użytku, zapisujący to, co ulotne, niepozowane, czasami na granicy kadru, bez filtra.

Taka też jest poezja Grzegorza Malechy – poety z Dolnego Śląska, od lat mieszkającego w niewielkiej wsi na Pomorzu Zachodnim, gdzie bliżej do ciszy niż literackich salonów. Jego twórczość pozostaje bliska rytmowi codziennego życia, zwykłych gestów i światła dotykającego rzeczy mimochodem. Autor *Metonimii* i *Światła w praktyce* znany jest również z tego, że od lat publikuje w mediach społecznościowych krótkie nagrania, w których mocnym, uważnym głosem interpretuje poezję innych. Jego własne pisanie zdaje się wyrastać z tej samej potrzeby – skupienia i bliskości.

Taki też jest jego język poetycki – daleki od emfazy, uderzający oszczędnością, operujący wersem krótkim, niekiedy rwanym, budowanym z wycuciem pauzy, wyciszenia, zawahania. Pojawiają się tu porównania – nietypowe, zaskakujące, ale użyte z powściągliwością. To poezja skupiona na rejestrowaniu doznań zmysłowych – bardziej notuje chwile percepcji niż wyraża emocje w tradycyjnym, lirycznym sensie.

Ten tom to zapis rzeczy widzianych z bliska – relacji rodzinnych, fragmentów dzieciństwa, chwil uchwyconych w rytmie dnia, rozmów, snów, gestów, drobnych spraw codziennych:

*córki przenoszą wiaderkami
słońce zanurzone w wodzie
zachowują równowagę ciepła*

*ten ruch to
nasza kosmologia*

(bez tytułu, s. 27).

W tym świecie, rejestrowanym z czułością i uważnością, czas zaczyna płynąć inaczej, a jego plany mieszają się swobodnie – zmarli powracają w głosie i geście, wspomnienia stają się częścią teraźniejszości, a zwykłe obrazy nieruchomieją:

*na poboczu drogi rosną klony żółte o tej porze
liście opadają drogą też opada*

*słońce ma się ku zachodowi
dzień jest ładny sobota albo niedziela
powietrze przejrzyste kolory żywe*

*parę kroków przede mną córki trzymają za ręce dziadka
którego nigdy nie poznały*

(alternatywnie, s. 8).

Zdarza się, że teksty przypominają szkice lub notatki, w których równie ważne jak to, co zapisane, jest to, co pozostawiono niedopowiedziane. Wyróżniają się te fragmenty, w których elementy codzienności zostają nieznacznie przesunięte – jakby widziane po przebudzeniu: zdanie dziecka, cień odchylnych drzwi, szum z sąsiedniego pokoju. Ich siła tkwi nie tyle w pointach, co w zawahaniach, nieostrościach, w napięciach między światłem a cieniem:

*kiedy kończy się dzień
otwierają drzwi
do kolejnego pokoju*

*malujemy w nim ściany
szlaczki z liczb
i słów*

*przestrzeń jest pusta
lamperia
niczym nie pachnie*

tylko

*dziecko rysuje cienie
a tym cieniom cienie*

(bez tytułu, s. 23).

Światło w tych wierszach nie służy rozjaśnianiu. Nie odświeża, nie tłumaczy, nie prowadzi ku iluminacji. Jest raczej obecne mimochodem – wpada przez szybę, załamuje się na zastonie, odbija w wodzie, miga w oddali. Czasem oślepia, a czasem nie pozwala, by dojrzeć całość. Zdarza się, że obraz jest prześwietlony albo rozmazany, jakby zrobiony w ruchu. Rzeczywistość widziana jest przez filtr snu, pamięci, półświadomości:

*gdy po latach śpię w domu babci
światła przejeżdżającego auta
skradają się do łóżka
robią młynka na ścianie
tym razem jednak wydaje mi się że anioł
ze starego obrazu przewraca oczami*

(bez tytułu, s. 6).

To światło niepewne, poruszone, przypomina raczej efemeryczną projekcję niż fotografię – wiersze mają w sobie coś z filmu wyświetlanego na ścianie. Zdarzenia zacierają się, a ich kontury są niestabilne. Sen miesza się z jawą. Pojawiają się kadry jak z innego porządku: wiatrak wieziony przez wieś o świcie, dom, który płynie z początków wszechświata, dziecko rysujące cienie cieniom.

Poezja Malechy nie próbuje nazywać rzeczywistości wprost – raczej rejestruje chwile, w których coś wymyka się znaczeniu, jakby obraz był lekko przesunięty względem tego, co oczywiste. I może właśnie dlatego to światło jest tak ważne: nie jako metafora, ale jako sposób patrzenia, który dopuszcza nieostrość, zawahanie, niedomknięcie.

Na tle tych codziennych, czasem rozmazanych scen – kuchni, podwórka, pokoju dziecka – pojawiają się także obrazy z zupełnie innego porządku. Klocki „made in China”, IKEA, castingi, Facebook, Oscary, Stallone, komunikaty z systemu, dane, pakiety, światłowody. Pojawiają się nagle, czasem jakby od niechcienia – nie dominują, ale zaznaczają swoją obecność. Są jak btyiski świata zewnętrznego, który przesącza się do środka, ale nie wypiera tego, co najbliżej.

Zdarzają się też wiersze, które uchylają okno na świat zewnętrzny – ten bardziej aktualny, polityczny, zbiorowy. Pojawia się w nich Biden, pandemia, kredyt hipoteczny, żelki haribo, wybuch supernowej. Ale nie są to głosy publicystyczne. Wszystko, co współczesne, przechodzi tu przez filtr wyobraźni – jakby obserwowane z dystansu, lekko przesunięte w stosunku do rzeczywistości:

w dniu w którym wygrał joe biden

*wszyscy byliśmy wygrani martyna w konkursie poetyckim
sąsiad na loterii*

*ja traфіtem w lidlu na promocję jabłek
które potem obrątem ze złudzeń
i podzieliłem między wszystkich
jak amerykę*

(w dniu w którym wygrał joe biden, s. 45).

Pojedyncze zdarzenia i komunikaty zostają zestawione z doświadczeniem prywatnym – rozmową z babcią, snem dziecka, jasnością dnia. Ten zabieg nadaje wierszom charakter dziwnie oniryczny, niekiedy surrealistyczny – świat realny zderza się tu z osobistym i tworzy trzeci wymiar, zawieszony między wiadomością z radia a snem. Malecha nie stawia wykrzykników. Wystarczy mu fakt, że to wszystko naprawdę się dzieje – w jednym czasie, w jednej głowie:

*tego dnia przyszła babcia i poprosiła
bym pokazał jej przez teleskop
pozostałość po supernowej
która wybuchła milion lat temu*

(ostatnie namaszczenie, s. 56).

Świat Malechy nie oddziela sfery wysokiej od niskiej, prywatnej od medialnej – wszystko współistnieje. Ale właśnie dzięki temu kontrastowi rzeczy najprostsze zyskują inny ciężar – jakby światło odbite od rzeczy nieistotnych jeszcze wyraźniej uwidaczniało to, co naprawdę ważne w codzienności.

Niektóre z tych obrazów – jak tekst o castingu czy fragmenty o pandemii – pokazują, że podskórnie książka rejestruje też czas, w którym powstała. Ale robi to bez wielkich słów – bardziej przez wtrącenie, drobny szczegół, ton wypowiedzi.

Wiersze Malechy nie układają się w opowieść. Nie prowadzą żadnej historii, nie mają punktów zwrotnych. Czas w tej książce to nie linia, tylko seria mignięć – jakby rzeczywistość dawała się uchwycić jedynie fragmentarycznie, w ujęciach robionych „na szybko”, między jedną a drugą myślą. Pojawiają się wspomnienia, ale nie są to sceny z przeszłości – raczej obrazy, które wciąż gdzieś się dzieją, mimo że czas ich minął.

Ojciec idzie leśną ścieżką, dziecko mówi przez sen, chłopcy strzelają z patyków, stygną kombajny po żniwach – te momenty trwają tak, jak trwa ślad światła po zgaszonej gwiazdzie. Są zapamiętane nie dlatego, że były ważne – ale dlatego, że pozostały w pamięci zmysłów: jako ruch, dźwięk, napięcie.

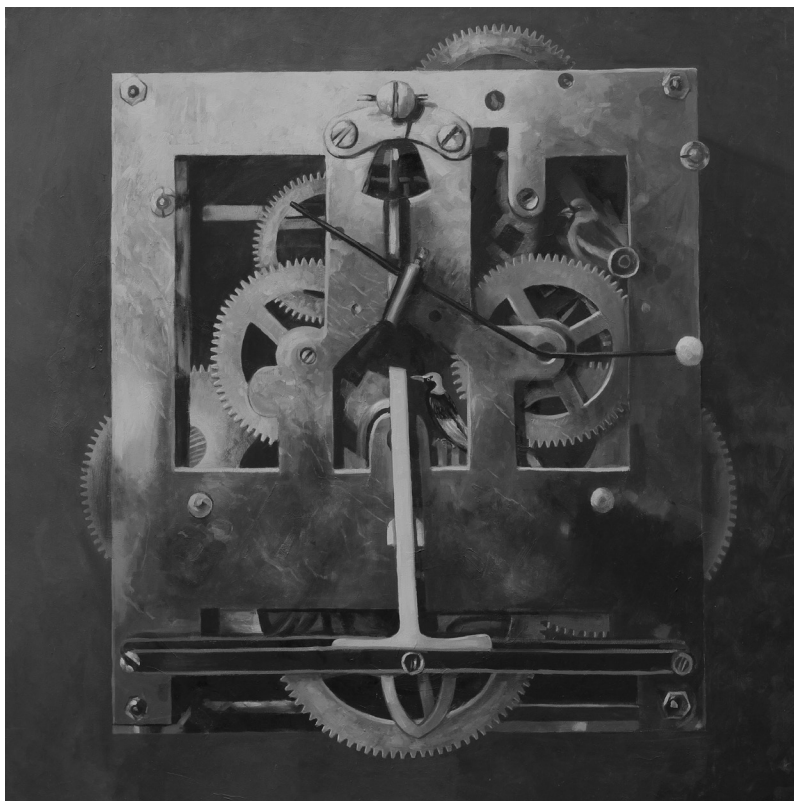
Czas w tych wierszach nie przyspiesza, nie zatrzymuje się – on rozpytywa się między zdaniem, w zawieszeniach i urwaniach. Można odnieść wrażenie, że książka nie szuka rytmu kalendarza, ale rytmu życia: z jego powtórzeniami, wyciszeniami, niezapowiedzianymi błyskami. I że forma temu – bez wyraźnych cesur, tematów, czytelnej struktury – została świadomie dopasowana do tej logiki.

Światło w praktyce to książka uważna – nie na wydarzenia, ale na momenty. Na cień rzucony przez liść, na zdanie zastyszczane mimochodem, na scenę z wiatrakim wiezionym przez wieś, którego skrzydło może przebić sen. Nie opowiada, nie tłumaczy, nie buduje. Zapisuje obecność tego, co dzieje się cicho i mija, a co warto ocalić.

To nie jest poezja z ambicjami porządkowania świata. To poezja, która przygląda się jego drobnym fragmentom – bez pośpiechu, z bliska, bez potrzeby wyjaśniania wszystkiego. Tak, jak się patrzy, gdy nie trzeba się spieszyć.

Grzegorz Malecha, *Światło w praktyce*, Convivo 2024

ANNA DOMINIAK: polonistka, bibliotekarka, recenzentka poezji i prozy, autorka wierszy. Zajmuje się redakcją książek, a także moderuje spotkania literackie. Mieszka i pracuje w Świebodzinie.



SZCZĘŚCIE NIEJEDNO MA IMIĘ

Beata Igielska

Grosik szczęścia Hanny Bilińskiej-Stecyszyn to piękna, wzruszająca i dająca do myślenia opowieść o tym, że nigdy nie jest za późno na szukanie szczęścia. To również historia pewnej miłości, której towarzyszą wspomnienia, smaki, aromaty i muzyka – elementy często pojawiające się w prozie autorki.

Ewa jest dojrzałą kobietą. Mieszka sama, żyje skromnie, dorabiając sobie przy różnych okazjach robieniem pierogów na zamówienie.

Najwięcej pracy ma przed Bożym Narodzeniem. To właśnie w Wigilię 2023 roku rozpoczyna się akcja powieści.

Wydarzenia poznajemy z perspektywy Ewy, która opowiada o swojej dodatkowej pracy, a przy okazji pozwala nam poznać innych, drugoplanowych bohaterów.

Przypadek sprawia, że kobieta sięga po stare zeszyty, w których przed laty spisywała swoje przeżycia i refleksje. Gdy otwiera jeden z kajetów, przenosimy się do roku 1974.

Śledząc zapiski Ewy, poznajemy jej przeszłość. Dowiadujemy się, że kiedyś była zakochana ze wzajemnością, a cały świat sprowadzał się do jednego imienia: Piotr.

Co takiego wydarzyło się, że teraz Piotra nie ma przy Ewie? Dlaczego bohaterka jest poruszona, odnajdując w upuszczonym zeszycie zasuszony kwiat? I czego jeszcze dowiemy się, poznając jej pamiętniki?

Te pytania pojawiają się szybko, ale na odpowiedzi musimy poczekać. Zanim je poznamy, będziemy towarzyszyć Ewie w jej codziennym życiu, a także wędrować do świata sprzed lat. Obie te przestrzenie przenikają się płynnie, tworząc fascynującą opowieść, w której jest miejsce na całą gamę uczuć, potęgowaną przez liczne odniesienia do literatury i muzyki.

Bardzo polubiłam Ewę. Ujęła mnie jej opowieść o bieżącym i dawnym życiu. Bohaterka pięknie, nastrojowo opowiada o miejscu, w którym mieszka, o spotykanych ludziach, odwiedzanych miejscach, o zmianach, jakie wraz z upływem czasu zachodzą w okolicy.

Interesujące są też odwołania do historii, np. gdy kobieta mówi o poniemieckim cmentarzu.

W życiu Ewy wiele się wydarzy, ale nie mogą zdradzać szczegółów, by nie spojlerować. Zapewniam, że będziecie jej kibicować i wraz z nią przeżywać burzliwe perypetie.

Mimo iż to fikcyjna postać, można żyć się z nią jak z kimś rzeczywistym.

Stworzenie takiej kreacji to niełatwe zadanie. Rzadko przywiązuję się do wymyślonych bohaterek i bohaterów. W przypadku *Grosika szczęścia* jest inaczej.

Ta powieść to nie tylko historia Ewy. Są tu drugoplanowe oraz epizodyczne postacie, których losy i zachowania robią duże wrażenie.

Autorka stworzyła wzruszającą powieść, w której uwagę zwraca nie tylko miłość ze swoimi różnymi obliczami. Dla mnie to także książka o samotności, która bywa szczególnie bolesna wśród ludzi.

Można *Grosik szczęścia* odczytywać na różnych poziomach i to na pewno duża zaleta tej prozy, podobnie jak dopracowany, ujmujący styl. Całość napisana jest barwnie, z dbałością o piękną polszczyznę, a to rzadkość w naszej rodzimej współczesnej beletrystyce.

Przeczytałam tę powieść szybko, z dużymi emocjami i prawdziwą przyjemnością. I takiej lektury wszystkim życzę.



BEATA IGIELSKA: dziennikarka, publicystka, recenzentka współpracująca z kilkoma wydawnictwami, poetka. Autorka dwóch książek, współautorka i redaktorka wielu antologii. Laureatka ponad trzydziestu ogólnopolskich i międzynarodowych konkursów literackich. Prowadzi na FB grupę Książkowzięci. Od 2021 wiceprezesa gorzowskiego oddziału Związku Literatów Polskich.

MISTRZ DOBREGO SMAKU

Juliusz Piechocki

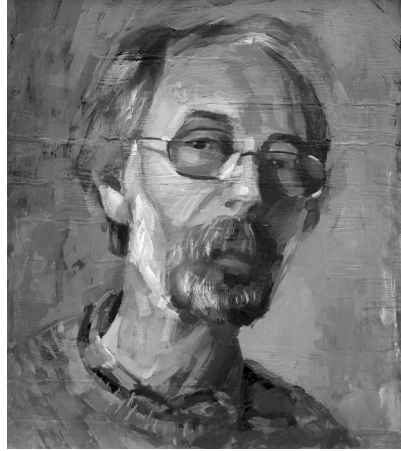
Juliusz Piechocki urodził się 10 kwietnia 1948 roku w Zielonej Górze. Od 14. roku życia mieszka w Gorzowie Wielkopolskim. Był uczniem Jana Korcza w tzw. Akademii Pana Jana. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Poznaniu, gdzie w 1979 roku uzyskał dyplom w pracowni profesora Stanisława Teisseyre'a. Zajmuje się rysunkiem i malarstwem. Od trzydziestu lat uczy tych dziedzin w Państwowym Liceum Sztuk Plastycznych w Gorzowie Wielkopolskim.

Artysta ma na koncie kilkanaście wystaw indywidualnych oraz udział w wielu prezentacjach zbiorowych i plenerach ogólnopolskich. W 1997 roku został uhonorowany Medalem im. Andrzeja Gordona – nagrodą Wojewody Lubuskiego w dziedzinie plastyki. W 2015 roku otrzymał Medal Srebrny za Długoletnią Służbę – wyróżnienie Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej. Trzy lata później został odznaczony honorową odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”, przyznaną przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

W 2022 roku uhonorowano go Brązowym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” – także przyznanym przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Prace Juliusza Piechockiego znajdują się w zbiorach Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta w Gorzowie Wielkopolskim, Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie Wielkopolskim oraz w kolekcjach prywatnych w Niemczech, Danii, Szwecji, Francji, Włoszech, Australii i Stanach Zjednoczonych.

Współautor książki *Secesja i historyzm w Gorzowie Wielkopolski*, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Gorzowie Wielkopolskim 2009.





KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak

VARIA

31 stycznia podczas obchodów Dnia Pamięci i Pojednania archeolog Krzysztof Socha przedstawił wykład pt. *Kostrzyn 1945 w świetle prac archeologiczno-ekshumacyjno-poszukiwawczych*. Prelegent omówił progres prac archeologicznych prowadzonych w Kostrzynie nad Odrą, obejmujących zlokalizowanie i ekshumację szczątków osób poległych w bitwie o miasto oraz pozyskanie eksponatów, które obecnie znajdują się w Muzeum Twierdzy Kostrzyn.

21 lutego – w 37. rocznicę śmierci gorzowskiej pisarki – odbyło się spotkanie wspomnieniowe o Irenie Dowgielewicz. Słowo wstępne o literatce wygłosił Janusz Dreczka. Dr Mirosława Szott, moderatorka spotkania, przytoczyła nieznaną dotąd stan badań nad twórczością pisarki. Fragmenty sztuki dramatycznej pt. *Krzywdza* odczytał Jan Tomaszewicz, dyrektor Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim. Magdalena Kubacka przedstawiła referat pt. *Przed/podmiotowość kobiety w „Opowiedziane na skwerku”*, skupiając się na tematyce kobiet i ich relacji w twórczości Ireny Dowgielewicz.

18 marca, w rocznicę urodzin niemieckiej pisarki Christy Wolf, w willi Hansa Lehmannna odbyło się spotkanie upamiętniające jej życie i twórczość. Dr Małgorzata Czabańska-Rosada w wykładzie *Powrót do przeszłości. Christa Wolf i jej walizka pełna wspomnień* przybliżyła biografie pisarki. Studenci z AJP recytowali fragmenty *Wzorców dzieciństwa* Christy Wolf, a Sandra Szczudło-Ziemianin przeczytała fragmenty *Kasandry* Christy Wolf. Słuchacze ze szkoły „Cosinus” przygotowali bukiet urodzinowy dla niemieckiej pisarki.



Foto: WIMBP w Gorzowie Wielkopolskim

20 marca z okazji Międzynarodowego Dnia Poezji w Bibliotece Herberta wystąpili uczniowie z II LO. Licealna młodzież przygotowała repertuar przedstawień poetyckich w różnych językach oraz zbiorowe czytanie *Lokomotywy* Juliana Tuwima.

7 kwietnia w ramach Bibliotecznego Klubu Filmowego odbyła się projekcja filmu *Wojowie, syreny i chimery. Rzeszewski* zrealizowanego przez Dominikę Muniak – gorzowską artystkę, działaczkę kulturową i reżyserkę.

PEGAZ



Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim

20 marca świętowano jubileuszowe obchody setnego wydania czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” (1/100), które połączone zostały ze spotkaniem autorskim Hanny Bilińskiej-Stecyszyn oraz prezentacją jej najnowszej książki wydanej w ramach Biblioteki Pegaza Lubuskiego pt. *Sentymenty*. Prowadzący – redaktorka naczelna kwartalnika Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk oraz dyrektor Biblioteki Herberta Sławomir Szenwald – wraz z publicznością wspominali początki periodyku oraz jego rozwój na przestrzeni lat. Gratulacje oraz kwiaty złożyła radna miasta Anna Kozak. Drugą częścią wydarzenia było spotkanie autorskie Hanny Bilińskiej-Stecyszyn poprowadzone przez Agnieszkę Kopaczyńską-Moskaluk. Pisarka podzieliła się swoimi doświadczeniami związanymi z „drugim” życiem po przejściu na emeryturę i odnalezieniem pasji artystycznej oraz kajakarskiej.

WYSTAWY

13 lutego w Bibliotece Herberta otwarto wystawę o charakterze objazdowym „100 Lat Sportu Żużlowego”, zorganizowaną przez Muzeum Sportu Żużlowego w Toruniu. Ekspozycja prezentowała historyczne motory żużlowe, stroje zawodników, puchary i zdjęcia z zawodów.

14 lutego w gorzowskiej Książnicy zaprezentowano ekspozycję malarstwa Anny Cytowicz, która przedstawiała szesnaście obrazów o głębokiej symbolice oraz różnorodnej kolorystyce.

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



21 lutego odbył się wernisaż wystawy niemieckiego artysty Martina Hoffmanna pt. „Głowy Figury Przestrzenie”. Podczas wernisażu artysta opowiedział o swojej oryginalnej technice tworzenia obrazów – doklejaniu kolejnych warstw kawałków papieru. Kathrin Wolf, żona artysty oraz córka Christy Wolf w podziękowaniu za pamięć o matce przekazała bibliotece pamiątki po pisarce do Gabinetu Christy Wolf mieszczącego się w Willi Hansa Lehmana.

28 marca w „Galerii pod Kopułą” otwarto ekspozycję pt. „Barwy Życia” Ewy Żelazny-Machury. Artystka prezentuje malarstwo i rysunki o tematyce abstrakcyjnej. Malarka jest także uznaną poetką, laureatką ogólnopolskich konkursów poetyckich i regionalnych. Wernisaż uświetniła oprawa muzyczna w wykonaniu Sylwii Kaczmarek-Subery.

2 kwietnia zaprezentowano wystawę egzemplarzy książek Lucy Maud Montgomery pt. *Ania z Zielonego Wzgórza* z kolekcji prywatnych Katarzyny Piskorz i Agnieszki Maruszewskiej. Autorki wystawy w 10 gablotach zaprezentowały 161 egzemplarzy wybranych książek, w tym wydania sprzed 1945 r., na przykład przedwojenny egzemplarz z oryginalnym podpisem pisarki.

11 kwietnia odbył się wernisaż wystawy Renaty Ligockiej „Malarstwo” oraz Martyny Nieczaj „Fotografie”. Ekspozycja prezentowała dzieła artystek, które w różnorodny sposób interpretują nieuchronność zmian i przemijanie.

SPOTKANIA AUTORSKIE

21 lutego gościem Biblioteki Herberta była Elżbieta Downarowicz – autorka książek obyczajowych i sensacyjnych, których tematyka obejmuje losy różnych kobiet w trudnych życiowych momentach. Spotkanie z autorką prowadziła jej córka – Kornelia.

28 lutego odbyła się promocja książki *Biskupstwo Lubuskie 1122(1125)-2024. 900 lat dziedzictwa* wydanej w 2024 roku przy współfinansowaniu Książnicy Herberta oraz Instytutu Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego. Publikacja jest pokłosiem konferencji naukowej zorganizowanej w gorzowskiej Książnicy 9 maja 2024 roku. Moderatorami wydarzenia byli prof. Marceci Tureczek i dr Grzegorz Urbanek.

Foto: WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim



9 kwietnia w gorzowskiej Książnicy promowano książkę pt. *Ukraińscy uchodźcy własnym głosem o sobie*. Joanna Lubimow, Tomasz Marcinkowski i Łukasz Budzyński udostępniłi w swojej publikacji zapis rozmów z obywatelami Ukrainy przybywającymi do Gorzowa Wielkopolskiego w 2022 roku. Autorzy reprezentowali Wydział Prawa i Bezpieczeństwa AJP.

10 kwietnia Bibliotekę Herberta odwiedziła Antonina Tosiek, polska poetka i badaczka XX-wiecznej diarystyki ludowej. Autorka przedstawiła dwa tomiki poetyckie – *storytelling*, czyli debiut literacki traktujący o kulturze postwiejskiej i wsi potransformacyjnej, oraz *żertwy* – osobista poezja o sprawowaniu opieki nad chorym. Moderatorką rozmowy była Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk.

NOWA MARCHIA

20 lutego Paweł Kurtyka ze Stowarzyszenia Santockie Winnice przedstawił wykład pt. *Wielowiekowe tradycje winiarskie Gorzowa i okolic*, w ramach którego omówił historię uprawy winorośli i wytwarzania wina w rejonie gorzowskim.

24 kwietnia dr Katarzyna Zielińska, wiceprezesa Lubuskiego Oddziału Towarzystwa Pamięci Powstania Wielkopolskiego wygłosiła wykład pt. *Dąbrówka-Zbąszynek, czyli mecz Polska-Niemcy. Kilka słów o tożsamości pogranicza*. Wydarzenie połączono z promocją najnowszego rocznika Zeszytów Naukowych (nr 17 [2024]) z monograficznej serii „Nowa Marchia – Prowincja Zapomniana – Ziemia Lubuska – Wspólne Korzenie”.

KONFERENCJE

11 kwietnia w Bibliotece Międzyrzeckiego Ośrodka Kultury odbyła się konferencja naukowa pt. „Osadnictwo po II wojnie światowej. Perspektywa regionu lubuskiego” upamiętniająca 80. rocznicę ustanowienia polskiej administracji na Ziemiach Zachodnich i Północnych. Wydarzenie było współorganizowane przez WiMBP w Gorzowie Wielkopolskim, Międzyrzecki Ośrodek Kultury i Instytut Historii Uniwersytetu Zielonogórskiego.

OD REDAKCJI

Agnieszka Moskaluk: SMAK 1

WIERSZ NA OTWARCIE

Hanna Kaup: SMAKI STAROŚCI 2

TEMAT NUMERU: SMAKEwa Rutkowska: ŚPIEWAJMY, NIKT NIE WOŁA. OGÓLNOPOLSKIE SPOTKANIE
MŁODYCH AUTORÓWI KOMPOZYTORÓW SMAK W MYŚLIBORZU 4**STREFA PIOSENKI**

Bartłomiej Orzeł: LOT IKARA 10

ZANIM USCHNIE RÓŻY KWIAT 10

MINIATURA

Agnieszka Zatylna: SMAK 11

POEZJA

Aneta Długotęcka: jak dojrzały owoc 13

do dna 13

z serii Toscana 13

uomo vecchio (starcy) 13

fattoria il Poggio 13

OPOWIADANIE

Aneta Gizińska-Hwozdyk: ZNOWU Z NIĄ GADAŁEM 14

FELIETON

Andrzej Haegenbarth: HEGEN O SMAKACH 18

Łucja Fice: SMAK ILUZJI 20

POEZJA

Grzegorz Bazylak: MASSADA 22

TO NIC, KTÓRE JEST 22

WERSJA DEMO 23

Z KSIĘGI OPPENHEIMERA 24

FELIETON

Jerzy Hajduga: BRONIEWSKI BEZ POCHODÓW 25

Janina J. Jurgowiak: SMAKI DZIECIŃSTWA 26

POEZJA

Mariusz S. Kusion: In my Mindfulness's eye* 28

kwaśnEgo 29

Efemerie 29

Effemerie 29

OPOWIADANIE

Hanna Bilińska-Stecyszyn: SMAK MIODU 30

POEZJA

Jolanta Karasińska: moje szczęście 33

Czereśnie 33

Smak życia 33

Gabriela Rodak: podano do stołu 34

cisza 34

OPOWIADANIE

Marcin Mielcarek: PAPUGA W KLATCE 35

LIMERYKI

Halinka Bohuta-Stąpel: DO SMAKU 38

HUMORESKA

Jacek Lauda: BUMERANG 39

Dorota Wabno: ŚNIADANIE WIOŚLARZY (CZYLI PORANEK NAD JEZIOREM) 40

SATYRA

Ryszard Jasiński: ŚMIERCIONOŚNY AWANS 43

WYWIAD PEGAZA

Hanna Ciepiela: O KSIĄŻKACH, ARTYSTACH I SUSZONYCH POMIDORACH 45

WIOSENNE WIERSZOWANIE

Andrzej Matuszewski: GORZÓW! ACH, TO TY! 48

Aneta Długotęcka: ulubione 49

Aneta Gizińska-Hwozdyk: Dobre widoki 50

Na pokładzie tramwaju 50

Z. Marek Piechocki: *** [„Od lat słucham ...”] 51

RECENZJA

Weronika Kurjanowicz: OD CZARNEJ PLAMY DO KOLOROWEGO ZACHWYTU 52

Anna Dominiak: CODZIENNOŚĆ W TRYBIE MANUALNYM. O KSIĄŻCE GRZEGORZA MALECHY *ŚWIATŁO W PRAKTYCE* 54

Beata Igielska: SZCZĘŚCIE NIEJEDNO MA IMIĘ 59

SZTUKA

MISTRZ DOBREGO SMAKU Juliusz Piechocki 61

KWARTAŁ U HERBERTA

Gabriela Rodak: KWARTAŁ U HERBERTA 63





PADOK PEGAZA 2025

warsztaty literackie ZLP

12 WRZEŚNIA 2025

17:00

**WIMBP W GORZOWIE
UL. SIKORSKIEGO 107
SALA NR 8**

Piszesz? Chcesz popracować nad swoim warsztatem?

Te zajęcia są dla Ciebie!

Napisz tekst pod hasłem:

ZACZNIJMY OD NOWA!

(koniecznie przynieś go na pendrive!)

Przygotuj wyostrzone pióro i kreatywność.

Podczas warsztatów będziemy czytać przygotowane przez uczestników prace,

wspólnie poddawać je analizie i dobrze się bawić.

Zapraszamy!

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna
im. Zbigniewa Herberta
w Gorzowie Wielkopolskim
ogłasza



**OGÓLNOPOLSKI
KONKURS
LITERACKI**
im. Jana Grossa

2025 r.

V EDYCJA

Termin składania prac do
31 sierpnia 2025 r.

Regulamin Konkursu na stronie
www.wimbp.gorzow.pl

